

Wejherowski Konkurs Literacki

Powiew Weny

*„Aby wypełnić ludzkie serce,
wystarczy walka prowadząca ku szczytom”
Albert Camus*



Miejska Biblioteka Publiczna
im. Aleksandra Majkowskiego
w Wejherowie

WEJHEROWO 2018

Miejska Biblioteka Publiczna
w Wejherowie im. Aleksandra Majkowskiego

XIII Wejherowski Konkurs Literacki

POWIEW WENY

pod patronatem
Prezydenta Miasta Wejherowa

WEJHEROWO 2018

W y d a w c a:

**Miejska Biblioteka Publiczna w Wejherowie
im. Aleksandra Majkowskiego**

Opracowanie i skład komputerowy:
Henryk Połchowski

Korekta: Krzysztof Powałka

Projekt okładki: Henryk Połchowski

Druk: MIDI-DRUK Wejherowo

ISBN 978-83-940674-2-7

Wejherowo 2018

Drodzy Czytelnicy

Z nieukrywaną satysfakcją przyznaję, że już po raz trzynasty podsumowujemy dorobek Wejherowskiego Konkursu Literackiego „Powiew Weny“, który cieszy się zainteresowaniem osób o uzdolnieniach literackich z naszego miasta, powiatu i województwa pomorskiego. Widać, że dobór motta zaproponowanego przez organizatorów konkursu autorstwa Alberta Camus „Aby wypełnić ludzkie serce, wystarczy walka prowadząca ku szczytom” okazał się bardzo inspirujący, skoro na konkurs napłynęło więcej opowiadań i wierszy, niż w zeszłym roku.

To również budujące, że w roku obchodów stulecia odzyskania niepodległości przez Polskę znalazły się w utworach konkursowych motywy, refleksje i elementy nawiązujące do historii naszego kraju. I chociaż zważywszy na motto, nie były to akcenty wiodące, to w kilku przypadkach godne uwagi, co należy uznać za pozytywny przejaw dojrzałości obywatelskiej autorów.

Bardzo cieszę się, że w scenariuszu spotkania finalizującego konkurs dzięki bibliotecznej grupie teatralnej „Errata“ udało się przygotować prezentację fragmentów nagrodzonych utworów. Była to znakomita okazja dla osób nie zasiadających w jury do wysłuchania choćby w skali mikro treści, stylu i języka najlepszych prac konkursowych. To wrażenia trudne do opisania w kilku słowach, zwłaszcza gdy słuchający tych słów, nie jest na to przygotowany, a przedstawiona fabuła czy refleksja poetycka, jest bardzo głęboka i zawierająca wiele przemyśleń.

W związku z obchodami stulecia niepodległości miałem okazję wysłuchać wielu piosenek, wierszy, opowieści, wspomnień a także obejrzeć kilka filmów ukazujących losy kilku pokoleń naszych rodaków, które walczyły i zabiegały o naszą niepodległość. Zdaję sobie sprawę, że młode osoby parające się piórem, znają tę przeszłość tylko z literatury i filmu, bądź

ze słyszenia. To jakże trudna przeszłość. Dlatego należy do tego odnieść się z wielkim szacunkiem, że młodzi autorzy pisząc swoje utwory, zarówno prozą jak i poezją, potrafili wczuć się w atmosferę tej naszej polskiej przeszłości i oddać w tak ujmujący sposób swoje odczucia i wrażenia pod każdym względem, zarówno pod kątem odbioru kultury, jak i pod kątem twórczym.

Mam też poczucie, że z części utworów przenikał zbyt duży smutek a jako czytelnik nieraz oczekiwałam, aby w literaturze można było zaznać trochę więcej radości. Czytając współczesne utwory czasem zastanawiam się, czy nasze życie rzeczywiście jest takie trudne i smutne, że przelewamy na papier nie tylko to, co nas dotyka, przeraża i martwi. Dlatego chciałbym zaproponować na przyszłość, żebyśmy pisząc eksponowali więcej akcentów zadowolenia i radości z życia. Niechaj literatura nie tylko pobudza do refleksji i przemyśleń na skutek opisywanych przeżyć, ale także tworzy pozytywny przekaz i daje impuls do działania, który inspiruje do dzieła.

Mieszkańcy Wejherowa wiedzą, że jako władze samorządowe grodu Wejhera, dbamy o zrównoważony rozwój miasta, w tym także o szeroki rozwój kultury, czego przykładem jest Miejska Biblioteka Publiczna i jej inicjatywy, jak na przykład Wejherowski Konkurs Literacki „Powiew Weny“. Konkurs ten zawsze kończy się oceną najlepszych prac i wręczeniem nagród, ale również promocją tych utworów w mediach oraz publikacją wydawnictwa będącego pokłosiem tego konkursu. To ukłon w stronę lokalnych twórców oraz środowiska kultury naszego miasta i regionu.

Budując Filharmonię Kaszubską zastanawialiśmy się nie raz, bo były przecież i takie głosy, czy jest dla kogo. Mimo przeważających głosów pozytywnych, były przecież obawy o celowość tej inwestycji, o frekwencję i zapotrzebowanie na szeroko pojętą kulturę. Z obecnej perspektywy patrząc jednak na cieszące się ogromnym wzięciem imprezy w Filharmonii Kaszubskiej, a także spotkania i wydarzenia w Miejskiej Bibliotece Publicznej, jestem przekonany, że warto było. Mamy bowiem wspaniałe pokolenia artystyczne i twórcze w Wejherowie, jak też na Ziemi Kaszubskiej. Mamy wyedukowane pod względem odbioru kultury społeczeństwo, które potrafi ukazać pełną głębię wrażliwości na sztukę, a przy tym jeszcze utrwalając ją w różnych formach i przelewać na zewnątrz.

Serdecznie gratuluję wszystkim, którzy zostali wyróżnieni i zdobyli nagrody, bo pisarstwo jest niesamowitą sztuką. Zarówno poezja i proza, to przekazanie czegoś co się czuje i zdają sobie sprawę, że nie jest to łatwe. Do tego jeszcze, nigdy nie wiadomo, jak czytelnik to odbierze. Umiejętność przelewania swych myśli, uczuć, wrażeń, czy wspomnień na papier, to przecież coś ważnego i pięknego, co warto pokazywać, prezentować, publikować i nagradzać. Dlatego z całego serca wszystkim gratuluję, bo jest z czego się cieszyć i radować.

Wszystkim uczestnikom, którzy nadesłali swoje prace na „Powiew Weny 2018“ dziękuję za udział w trzynastej edycji konkursu i zachęcam do udziału w przyszłorocznym konkursie.

**Prezydent Miasta Wejherowa
Krzysztof Hildebrandt**

WYNIKI

XIII edycji Wejherowskiego Konkursu Literackiego „Powiew Weny“ z dnia 23 listopada 2018 roku.

W kategorii - Dorosli

PROZA

- I miejsce - za opowiadanie pt. „Mleczarz“, godło „Hektores“
Sebastian Imielski z Rumi
- II miejsce - za opowiadanie pt. „Pod górę“, godło „Czterolistna“
- Krzysztof Szkułatowski z Wejherowa.
- III miejsce - za opowiadanie pt. „Obrączka“ godło „Rotmistrz“
- Sebastian Cieślikowski z Redy

POEZJA

- I miejsce - za cykl wierszy „Trzy listy z epilogiem“ - godło „Fryzys“
- Piotr Nowak z Gdańska
- II miejsce - za wiersze pt. „Za długie na haiku...“, „Jestem zdobywcą
szczytów“, „W poszukiwaniu straconego czasu“, godło „Polny kamyk“
- Magdalena Kubiak z Wicka
- III miejsce - za wiersze pt. „Wejherowo“, „Baronato Quattro Bellezze“,
i „Gołębie serce“, godło „Jaywalker“
- Przemysław Krajewski z Gdańska

W kategorii - Młodzież

- I miejsce - za opowiadanie bez tytułu, godło „Niebo“
- Paulina Melcer z Wejherowa
- II miejsce - za opowiadanie pt. „Sens“, godło „KingEdgar“
- Adam Terlikowski z Jantaru;
- III miejsce - za opowiadanie pt. „Dom tańczący w takt skrzypiec“,
godło „Skrzypce“,
- Oliwia Lejman z Wejherowa

Mleczarz

Próg pierwszej klatki schodowej przestępuję o 3.30 rano. Codziennie, od trzech lat. Dwadzieścia minut wcześniej zdejmuję ze stara sześć skrzynek z mlekiem i stawiam je na stalowym wózku. Chwytam rączkę i ciągnę ku pierwszemu z bloków rozsianych na trudnej do ogarnięcia wzrokiem przestrzeni. Zimą, gdy mróz atakuje z pełną mocą muszę założyć rękawice, by skóra nie przywarła do metalu. Pomimo tego wolę zimno, od wilgotnej wiosny i suchego lata.

Jest grudzień, lód skuł okolicę białym nalotem. Dostrzegam go w blasku reflektorów ciężarówki. Do pierwszego, słonecznego błysku pozostało dobrych kilka godzin. Nie wiem dokładnie ile, już ich nie liczę.

Obejście klatek schodowych pierwszego bloku zajmuje mi około dwóch godzin. Stawiam litrowe butelki w okolicy wycieraczek i zbieram te puste wystawiane pod ścianą. Co jakiś czas muszę się cofnąć, by wymienić skrzynkę na pełną. Stukot brzęczącego szkła odbija się głośnym echem od surowych ścian pustych korytarzy.

Po dwóch godzinach pracy odpoczywam. Mięśnie rąk i nóg odmawiają posłuszeństwa. Przeciągam je, wiem o tym, ale nie potrafię tak po prostu nic nie robić. Powinienem trwać w aktywności. Poruszać się, oddychać, emanować życiem.

Przerwę poświęcam na odpalenie stara. Należy go rozgrzać. Po chwili uruchamia się dmuchawa z ciepłym powietrzem w przestrzeni załadunkowej. W przeciwnym razie butelki zamarzają. Lód rozsadzi szkło i cały mój trud pójdzie na marne. Głośne dudnienie silnika rozlewa się po całym osiedlu. Rozglądam się. Na parkingu stoją zmrożone samochody, w oddali, wzdłuż ulicy ciągnie się szereg sklepów. Pomimo ryku silnika, kłuje mnie ta cisza.

Szybko wracam do pracy. Kolejna skrzynka i kolejny blok. Kończę przed dziesiątą. Wypełnione pustymi butelkami pojemniki trafiają na pakę stara. Zapalam silnik i wtedy to dostrzegam. Ruch.

Niemożliwe. Przecieram zmęczone oczy. To przywidzenie, krzyk rozpaczliwego zdesperowanego umysłu. Ogarniam wzrokiem okolicę. Pustka, stagnacja, martwica. Oddycham głęboko, naciskam pedał gazu i wyprowadzam pojazd z osiedlowej drogi w kierunku głównej arterii miasta. W tym momencie coś przebiega przed kołami. Hamuję gwałtownie. Za sobą słyszę brzęk tłuczonego szkła, ale nie to teraz jest najważniejsze. Zatrzymuję pojazd. Wsiadam. Coś co przebiegło tak szybko, że nie zdążyłem się temu dokładnie przyjrzeć, pognało w kierunku śmietnika. To zwierzę. Wydaje mi się, że włochate i w sumie niewielkie.

Idę tam. Podczas każdej innej pory roku unoszący się z kontenerów śmietnikowych smród jest nie do zniesienia. Zimą mróz oplata go szczelnie lodowym kordonem. Między innymi dlatego upodobałem sobie tę porę roku. Mam dość zapachu rozkładu.

Wiata śmietnikowa mieści cztery kontenery. Za ostatnim z nich dostrzegam włochatego stwora. Trzęsie się. Jest przerażony. Wtulony w martwą stal wychyla w moją stronę kawałek czarnego nosa. Potem oczy i uszy. To pies. Wychudzony, wystraszony kundel. Wydaje z siebie jakiś dźwięk, chyba warczenie, jest ono jednak na tyle ciche i żalosne, że wywołuje jedynie politowanie.

- Chodź – próbuję przywołać zwierzę. To jednak trwa skulone. Wyciągam z kieszeni kurtki paczkę herbatników. Rzucam jeden w jego kierunku. Kundel odskakuje. Po chwili wychyla się i pożera ciastko. Podaję mu kolejne. Pochłania je co do okruszka. Trzyma jednak dystans. Nie ufa mi, ale w jego oczach dostrzegam błaganie o jakikolwiek pokarm. Zostawiam mu resztę ciastek. Wracam do samochodu. Szukam niedojedzonej puszki z mielonką.

Stoi na półce po stronie pasażera. Chwytam ją i ruszam w stronę śmietników. Pies wyszedł poza wiatę. Podkulony ogon, opuszczone uszy. Patrzy na mnie. Wydłubuję palcami mielonkę z puszki i wyciągam rękę w jego kierunku. Nadal się boi, ale wprowadzony na najwyższe obroty nos nie pozwala mu pozostać obojętnym. Podchodzi i pochłania pożywienie. Stawiam puszkę obok swojej nogi. Niech skojarzy mój zapach z cudownym doznaniem wypełnianego

żołądka. Różowy jęzor wprowadza puszkę w ruch. Tańcuje z nią we wszystkich kierunkach. Wydłubuje najmniejszą drobinę, mikro pozostałość zmielonego mięsa i tłuszczu. Gdy kończy odchodzę. Idę w stronę starych drzwi. Udaję, że nie dostrzegam zwierzątko. Ten szczeka. Otwieram na oścież drzwi samochodu.

- Chodź – mówię.

Pies idzie niepewnie. Staje i wpatruje się w przestrzeń kabiny. Strach go nie opuszcza, jednak zimno i głód zmuszają do podjęcia ryzyka. Jednym susem wskakuje na schodek, a następnie fotel. Zatrząskuję drzwi. Przechodzę na przeciwległą stronę, otwieram drugie i zasiadam za kierownicą. Odpalam silnik. Pies siedzi i trzęsie się. Nie wiem, czy to ze strachu, czy podekscytowania. Otwieram kolejną paczkę herbatników i kładę kilka na fotelu obok niego. Pożera je zachłannie. Ruszam. Wyjeżdżamy z osiedla. Prowadzę wóz powoli. Nigdy nie szaleję. Jedziemy główną arterią miasta. Co jakiś czas wymijam samochody stojące na środku, lub po bokach drogi. Znam ich rozkład na pamięć. Podróż zajmuje nam dobre pół godziny. Mieszkam po drugiej stronie metropolii, w starej kamienicy. Mój kompan nad wyraz szybko oswaja się z wnętrzem ciężarówka. Spuszczone dotąd uszy podniosły się znacząco, podkulony ogon wibruje w powietrzu. Chyba wie, że jest bezpieczny.

* * *

Otwieram drzwi. Mieszkanie wita przyjemnym ciepłem. Emituje je wysoki, kaflowy piec. Rozpalony rano, a właściwie w nocy ogień niedługo zgaśnie. Dorzucam więc trzy szufle węgla. To pozwoli utrzymać temperaturę.

Pies wchodzi niepewnie. Obwąchuje meble, odwiedza wszystkie kąty. Poznaje. Sam dopiero przyzwyczaiłem się do nowej przestrzeni. Sprawdziłem się tu niespełna trzy miesiące temu. W dawnym mieszkaniu nie przetrwałbym kolejnej zimy. Ostatnia wystarczająco dała mi się we znaki.

Zdejmuję kurtkę i rozwieszam ją na lince wzdłuż pieca. Ogrzewam ręce o ciepłe kafle. Ile domów musiałem przemierzyć, by znaleźć mieszkanie z takim piecem? Kilkadziesiąt. Może setkę. Centralne ogrzewanie wyparło stare, dobre wynalazki. Węgiel zabrałem ze składu za miastem. Na starym zmieściło się dobrych pięć ton. Zbieram codziennie kilka wiaderka z wyrosłej przed wejściem do budynku góry czarnego złota.

- Dalej głodny ? – pytam psa i sam dziwię się jak chrypiący i obcy głos wydobywa się z mego gardła. Pies macha ogonem. Nalewam mu do miski wody, w drugiej łąduje zawartość kolejnej puszki z mielonką. Jej data przydatności minęła dwa lata temu, ale skoro mnie nic nie jest, a jem mielonkę przez cały czas, to tym bardziej pies powinien dać sobie radę. Bóg raczy wiedzieć czym żywił się do tej pory.

- Jesteś podobny do Miszy – mówię oswajając słuch z barwą dawno nie słyszanego głosu – Beatka uwielbiała tego psiaka. Wyglądał tak samo dziwnie jak ty.

Zwierzak kończy posiłek i wpatruje się we mnie przekręcając na bok głowę. W jego oczach już nie ma strachu. A co? Może wdzięczność.

- Misza miała taką kolorową piłeczkę, za którą latała jak głupia - kontynuuję. - Ganiała po podwórku i w parku. Chodziliśmy tam z nią całą rodziną.

Pies nie słucha. Zajmuje miejsce przy piecu. Ma pełen żołądek i jest mu ciepło. Odpoczywa. W jaki sposób zdołał przetrwać? Co przeżył?

- Zostań - nakazuję, choć widzę, że pies nie ma najmniejszej ochoty ruszać się z miejsca. Zakładam kurtkę, przez prawe ramię przewieszam przybornik. Wychodzę z mieszkania. Wspinam się na piąte piętro. Gdy docieram na miejsce przykładam pod ścianę drabinę i wdrapuję się na górę. Podważam klapę i wychodzę na dach. Mróz znów atakuje z potworną brutalnością. Pomaga mu porywisty wiatr. Stoję przy kominie, z którego wydobywa się czarny dym. Mój dym. Z przybornika wydaję lornetkę. Lustruję okolicę w poszukiwaniu podobnego obłoku oznaczającego życie. Nic. Może chociaż smuga pary? Zawód. Chociaż nie, nie odczuwam zawodu. Zmuszam się do wchodzenia na dach, by mieć czyste sumienie. Próbuję, choć wiem doskonale, że to nie ma najmniejszego sensu. Po kwadransie kończę codzienny rytuał. Wracam do mieszkania. Pies wita mnie podekscytowany. Czuje się jak u siebie.

Idę do drugiego pokoju. Jest w nim chłodniej. Natychmiast spływa na mnie zmęczenie. Kładę się w łóżku przykrywając puchową kołdrą. Szybko zasypiam. Nie zapamiętuję snów. Wyzwalają zbyt wiele emocji. W mojej sytuacji te są niewskazane.

Gdy się budzę jest już ciemno. Czuję ciężar na nogach. Pies pochrapuje na kołdrze wyginając się w przedziwny sposób. Dostrzega mnie i macha ogonem.

Liże po rękach. Wstaję z łóżka. Dorzucam do pieca, zapalam świece i otwieram puszkę mielonki. Jem w ciszy przygryzając herbatnikami. Popijam wodą. Potem pies otrzymuje swoją porcję.

Świczka pali się na stole. Obok stawiam gorącą herbatę. Przysuwam fotel do okna. Zapalam papierosa i wpatruję się w przestrzeń za szybą. Wiatr gania śmieci po ulicy. To jedyny ruch jaki dostrzegam. Wypalam trzy papierosy. Później idę do łazienki przemyć twarz resztką ciepłej wody podgrzanej w węglowej kuchence. Kładę się spać. Ciche sapanie uświadamia mi, że nie jestem w pokoju sam.

* * *

Star rusza spod domu o 2.30. Odpalił z najwyższym trudem. Dochodzę do wniosku, że będę musiał zabierać akumulator na noc do domu. Pies siedzi na fotelu z wywieszonym jęzorem. Przed wejściem do kabiny zdążył oznaczyć teren wokół kamienicy. Przynajmniej jego instynkt ma nadzieję, że to konieczne.

Jedziemy powoli. Te same ulice, skrzyżowania, budynki. Ten sam czas przejazdu. Wprowadzam samochód w osiedlową drogę. Zatrzymuję przy pierwszej klatce. Widzę, że pies jest przygotowany do wyjścia. Sapie i macha ogonem.

- Muszę dać ci jakieś imię – decyduję wpatrując się w brązowy pysk.
- Może Mleczarz? Co ty na to?

Pies popiskuje. Nie może doczekać się samotnych rajdów po osiedlu. Wpuszczam go.

- Mleczarz! – krzyczę – Tylko nie oddalaj się zbytnio !

Jest 3.25. Pierwsze skrzynki trafiają na wózek. Ciągnę go w kierunku klatki A. Zza pleców dobiega szczeknięcie.

- No Mleczarz, mamy robotę.

Uchylam drzwi. Pies wbiega na klatkę schodową. Najpierw parter, potem w górę. Idziemy od drzwi do drzwi. Zbieram sprzed wycieraczek butelki z mlekiem i wymieniam je na puste. Wypełnione skrzynki ładują na pace stara.

1224 dzień po przebudzeniu. Coś się jednak zmieniło. Cichy stukot pazurów w głuchej przestrzeni pustych korytarzy.

Sebastian Imielski

Pod górę

W rodzinnych kronikach nie zachował się przekaz o tym, kto, kiedy i dla czego wybudował tu dom. Chyba żaden z jego mieszkańców nigdy tego nie dociekał. Dla nich dom stał tu od zawsze. Od zawsze też z nadrzecznych łęgów nadciągała nocami wilgotna mgła. Cicho osiadała na dachu i spływała kroplami po szybach. Rozciągając w powietrzu i mleczny filtr ograniczała zasięg widzenia domowników. Wyglądając o brzasku przez kuchenne okno mogli dostrzec jedynie drobny wycinek rzeczywistości mieszczący się między kamiennym progiem, a studziennym kołowrotem pośrodku podwórza. Reszta świata otaczającego dom rozpyływała się w miękkim białym bezkresie.

Kiedy słońce wzniosło się nad horyzont widać już było ścieżynkę. Wiła się ciemniejszym szlaczkiem w lśniących kroplami rosy rajgrasach. Prowadziła najpierw do starej jabłoni, jakby stojącej na straży miniaturowego sadu składającego się z kilku śliw, grusz i czereśni. Pod jednym z drzew ustawiono ławeczkę – ulubione miejsce wypoczynku domowników. Siadywano na niej już od kwietnia. A już w maju bywało, że ten, czy ów zapadał tu w drzemkę, uśpiony brzęczeniem pszczół zbierających pyłek w koronach drzew obsypanych różnobarwnym kwieciami. Wdychając intensywny, odurzający wręcz zapach owocowego kwiecia, łatwo było zapomnieć o całym świecie.

Pomiędzy pobielonymi wapnem pniami drzew stały ule. To dla ich lokatorek posadzono niegdyś, tuż przy ogrodowym płocie, kilka lip i robinii. Dzięki drzewom, miód z tutejszej pasieki sływał z unikatowego smaku łączącego różne nuty. Chętni do jego zakupu fatygowali się nawet z miast odległych o kilkadziesiąt kilometrów. Większość jednak wywoziła stąd niewiele więcej niż smak po poczęstunku, bowiem owoce pracy pszczół pozostawały w gospodarstwie. Gościom zaś nigdy nie skąpiono pajdy swojskiego chleba, grubo posmarowanej żółtym masłem i obficie polanej gęstym złocistym syropem. Choć z pustymi koszami, wyjeżdżali uśmiechnięci i z dobrym wspomnieniem.

Niektórzy wracali każdego roku, by znów pytać o możliwość kupna miodu. Obejście odwiedzali nie tylko przybysze z miast. Jeszcze częściej dało się tu spotkać skrzydlatych lokatorów lasu. To głównie dla nich na obrzeżu sadu posadzono czarne bzy, berberysy, jałowce, głogi, dzikie róże i karłowate drzewko jarzębinowe. Ledwie ziemię pokrył śnieżny pled, pojawiały się w tej stołówce ptaki. Nie opuszczały jej aż do wiosny. Ludzie również z niej korzystali przygotowując z owoców nalewki. Wypełnione pachnącymi płynami ciemnozielone szklane butelki stały później w domowej spiżarni karnymi rzędami, między słojami innych przetworów.

W sadzie swój leszczynowy składzik miały nawet wiewiórki, które przez większość mieszkańców wsi były traktowane jak szkodniki. Tu jednak, specjalnie dla nich, zawsze pozostawiano sporo orzechów. Nie przepędzano ich, nie nazywano pogardliwie rudymi szczurami. Tu mówiło się, że jedzenia musi starczyć dla każdego.

Tuż za ogrodem rozciągała się łąka, na którą łatwo było trafić nawet w najciemniejszą bezksiężycową noc. Wystarczyło kierować się zmysłem powonienia. Zwłaszcza po sianokosach, kiedy unosił się nad nią zniewalający aromat schnącej mieszaniny traw i ziół. Chabry, koniczyny, krwawniki, mleczce, mniszki, osty, rumianki, dzikie szałwie i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze pachniało w sianie. Echa tych woni można było wyczuć w mleku dawanym przez Łaciatą każdego ranka i wieczora. W porze udoju po obórcie zawsze kręciło się kilka kotów. Cierpliwie czekały na swoją porcję białego smakołyku. Dostawały go zawsze, bowiem gospodarze cenili upartą kocią walkę z gryzoniami. Zresztą, koty nie pozwalały ludziom o zapomnieć o doniosłości swojej pracy – regularnie znosiły pod drzwi domu zaduszone myszy, krety, a nawet spore szczury.

Tam gdzie kończyła się łąka, zaczynały się nadrzeczne mokradła porośnięte wierzbami i brzożami. Im bliżej rzeki, tym mniej było drzew, a więcej trzciny – wiosną i latem soczyście zielonych, a jesienią i zimą pożółkłych, ale zawsze szumiących na wietrze swoje pieśni. Skoszone, wysuszone, powiązane w ciasne pęczki, trzciny trafiały stąd, co jakiś czas, na dach domu, by uzupełnić naturalne ubytki. Był bowiem ten dom ostatnim budynkiem we wsi, którego dach tworzyła trzciniowa strzecha. Reszta gospodarzy już dawno zdecydowała się na ceramiczne i cementowe dachówki, a tu i tam widywało się eternit. Dom wyróżniał się też

kolorowymi drewnianymi okiennicami. Jednak najbardziej charakterystyczne było jego położenie – stał na skraju wsi, właściwie już poza nią. I w dodatku na wzgórzu, jedynym w całej okolicy.

Bez cienia przenośni można powiedzieć, że mieszkańcy domu mieli pod górę. Byli skazani na nieustanną wspinaczkę po dość stromym zboczu. Każdy dzień oznaczał dla nich nowy wysiłek. A był on tak nieodłączną częścią ich życia, że chyba przestali go zauważać. Specyficzna lokalizacja wpływała też na relacje mieszkańców z sąsiadami. Częstotliwość sąsiedzkich wizyt, eufemistycznie mówiąc, nie była tu wysoka. Jakoś ludzie nie mieli ochoty na mozolną wędrówkę tylko po to, by poplotkować, czy pożyczyć soli. Nawet sumienny zwykle listonosz rozgrzeszał się czasem w duchu z ominięcia domu na wzgórzu i opóźnienia doręczenia listu o dzień lub dwa. Cóż, taki właśnie był los mieszkańców domu – mieli pod górę...

Anton urodził się tu i tutaj dorastał. Opuścił dom na chwilę, jesienią 1917 r., kiedy trafił do armii Wilhelma II. Po krótkim szkoleniu wywieziono młodzika na francuskie pogranicze i wrzucono do okopów pełnych błota, wszy, gazowych wyziewów i smrodu śmierci. Nie nawojował się wiele, za to napatrzył wystarczająco. Był dość bystry by zrozumieć, że mundur, wojsko, karabin, wykrzykiwane gardłowo rozkazy, nie są czymś, do czego by pasował. Kiedy wojna dobiegała końca postanowił trzymać się od armii z daleka, choć kompani namawiali go by się do nich przyłączył. Jedni chcieli by został spartakusowcem i niósł przez Niemcy sztandar rewolucji. Drudzy, by wstąpił do freikorpsu i bronił ojczyzny przed czerwoną zarazą. Anton wybrał swoją drogę. Żegnany pogardliwymi spojrzeniami z obu stron, zdecydował się na powrót do domu. Odetchnął z ulgą, gdy po wielogodzinnej kolejowej podróży wyskoczył z wagonu na peron i zobaczył tak dobrze znany czarny napis na białym tle – KONTOPP. Wrócił! I znów piął się w górę, krok po kroku, jak przez całe dotychczasowe życie...

Było ciężko. Wracając z wojska rozminął się z ważną depeszą telegraficzną. Nie wiedział więc, że dom zostanie pusty. Wszystkich jego lokatorów znalazł w miejscu, w którym się ich nie spodziewał. W listopadowych strugach Anton klęczał przed pięcioma mogiłami. Dwa większe kopce – rodzice, trzy mniejsze – siostry. Na cmentarz zabrała ich, razem z setką innych mieszkańców wsi, epidemia hiszpanki. Łzy Antona rozplywały się

w kroplach deszczu płynących po twarzy. Szum ulewy tłumił łkanie, gdy ubłocony raz jeszcze mierzył się ze wzgórzem.

Czasu na rozpacz nie było wiele. Musiał się skupić na ratowaniu tego co zostało – gospodarstwa, domu na wzgórzu, siebie. Potrzebował pomocy i kilku najbliższych sąsiadów udzieliło mu jej. Jeden pożyczał koni do orki, inny zajął się naprawą pochylonego po burzy komina, w pięciu szybko uwinęli się z remontem dachu. Dobrzy ludzie złożyli się też na krowę i podzielili się kilkoma kurami. Ich żony zatroszczyły się o to, by każdego dnia dostał coś ciepłego do jedzenia – sam by pewnie o to nie dbał. Ktoś zaproponował mu też pracę w tartaku – mógł przychodzić do niej dwa dni w tygodniu, po kilka godzin dziennie. Wielkich pieniędzy z tego nie było, ale Anton nie miał wielkich wymagań. Plusem zaś było to, że zostawało mu dość czasu by zajmować się własną gospodarką. Praca w tartaku miała i tę dobrą stronę, że właśnie w drodze z niej poznał Sarę. Choć ojciec ciemnowłosej dziewczyny o migdałowych oczach był przeciwny temu związkowi, nie zdołał ich powstrzymać. Doszło do ślubu, było nawet skromne wesele, a potem Sara przeprowadziła się do domu na wzgórzu. I dzieliła codzienne Antonowe trudy. Jemu zaś powroty do domu zdały się odtąd jakby lżejsze. Niekiedy dochodząc do szczytu wzniesienia, uśmiechał się sam do siebie, mimo że z czoła spływały krople potu...

Cechą Antona, którą Sara ceniła najbardziej była szczerość. Zwykł mówić prawdę, także jeśli była niewygodna i bolesna. Jej głoszenie często okazywało się równie trudne jak codzienna wspinaczka do domu. Mimo to, trwał przy swoim., nawet jeśli ten czy ów życzliwy sąsiad sugerował mu, by niektóre ze swoich spostrzeżeń zachował dla siebie. Bywało bowiem, że komentował postępowanie władz. Podczas pogawędek przy kuflu dostawało czasem od Antona lokalnym urzędnikom. Paru obraziło się na niego, widząc go na ulicy odwracali głowy. Z czasem urazy jednak mijały, a relacje wracały do normy, zwłaszcza, że Anton również nie skąpił pochwał każdemu, kto na nie zasłużył.

Lata trzydzieste przyniosły zmianę. Większość mówiła, że dobrą, bo przecież Niemcy musiały w końcu wstać z kolan i zająć w Europie należne im miejsce. Niestety, zmiana miała i to oblicze, że trzeba się było opowiadać, deklarować, przyłączać. To zaś nie odpowiadało Antonowi. Nie po drodze

mu było ani z socjalistami, ani z chadekami. Do komunistów było mu bardzo daleko, równie daleko było mu do konserwatystów. A najdalej miał chyba do narodowych socjalistów, którzy z taką lubością paradowali w mundurach i głośno wykrzykiwali swoje hasła. A tego to on nie lubił. Przez całe dotychczasowe życie był niezrzeszonym indywidualistą. Nigdy nie należał do żadnego *Vereinu*. Nie zapisał się ani do *Bundu*, ani do innego *Gesellschaftu*. Nawet w chórze nie śpiewał. Unikał jak ognia masowych zgromadzeń, wieców, *Volksfestów*.

– Więcej tam rąk, niż głów – powiadał. A o ludziach mówił, że nie jest ważne czy są czerwoni, czarni, czy brunatni – liczy się tylko ich mądrość i dobroć. Takich znał jednak niewiele. Z innymi wołał się nie zadawać, co, jak można się domyślić, łatwe nie było.

Zmiany w kraju sprawiły, że urzędnicy wszystkich szczebli, zaczęli uważnie przysłuchiwać się głosom dobiegającym od suwerena. Bynajmniej nie po to, by spełniać zgłaszane postulaty. W zaciszu gabinetów z wolna powstawały listy obywateli niezadowolonych z nowych rządów. Anton należał do tych, którym nie wszystko się podobało w tej rzeczywistości. Szybko więc znalazł się na jednej ze wspomnianych list. Ktoś musiał ponieść jego krytyczne uwagi dalej i jakiś gminny urzędniczyna dowiedział się o komentarzu na temat własnej niekompetencji. Widocznie poczuł się głęboko dotknięty i polecił na skargę do gestapo. Później poszło już szybko – Anton, bez rozprawy sądowej, bez przesłuchań, bez możliwości odwołania, został uznany za „wroga państwa i narodu niemieckiego”. Taki los miał czekać każdego, kto „publicznie znieważa funkcjonariusza”, bowiem „działa na szkodę państwa i narodu”.

Był rok 1935 gdy trafił za kolczaste druty na „czas nieograniczony”. Trwał on okrągłe dziesięć lat, przez które Anton poznał prawdziwą drogę pod górę. Każdy krok na niej był walką o życie...

Dziesięć lat w Dachau! Na palcach obu rąk można zliczyć tych, którzy przeżyli tam równie długo co Anton. Głodzenie w bunkrze – za drugim razem trzymali go tam przez czterdzieści dwa dni. Dwukrotnie przeżył „słupek”. Przetrwał, ale sprawności w lewym ramieniu po tej torturze nie odzyskał już nigdy. Próbowali go utopić wpompowując do gardła przez gumowy wąż litry

wody. Zostawiali gołego na mrozie. Nawet doktorowi Schillingowi nie udało się go zgładzić. Anton jednak uparcie żył. Nieznanym medycynie niemieckiej sposobem pokonał madagaskarską malarię wszczepioną mu przez dystyngowanego starszego pana w eleganckiej muszce.

Przetrwał dziesięć lat. Co z tego, że bez połowy zębów. Inni, nawet zdrowi, nawet z kompletem uzębienia, nie wytrzymywali ułamka tego, co przeszedł on. Padali jak muchy. Jedni znikali po roku, inni po trzech latach. Niektórym wystarczył ledwie tydzień by podjąć decyzję – codziennie widywał zwłoki samobójców. Setki ciał, może tysiące. Tych, którzy rzucili się na elektryczne druty, tych, którzy sprowokowali strzał strażnika z wieżyczki, tych z podciętymi żyłami, otrutych, powieszonych...

Na zawsze zapamiętał mroźny lutowy dzień w 1938 roku, kiedy z toalety wynoszono zwłoki Hansa Littena. Anton znał go z gazet i nie mógł uwierzyć, że targnął się na swoje życie. Przecież podziwiał tego młodego prawnika za jego determinację i odwagę. Właśnie on, na początku lat trzydziestych, uciszył na sali sądowej samego Hitlera. Przerwał mu, gdy ten wykrzykiwał hasła o konieczności przeprowadzenia duchowej rewolucji w narodzie niemieckim.

– Panie Hitler – Litten uniósł rękę, co zatrzymało słowotok – do kogo kieruje pan swoje słowa?

– Noo, przecież do sędziego... – odpowiedział nieco zmieszany męczycyna z wąsikami.

– Proszę zatem spojrzeć tutaj – Litten wskazał na ławę znajdującą się dwa metry od Hitlera – sędzia jest naprawdę blisko i słyszy pana doskonale. Nie sądzi Pan? – pytająco zerknął ku sędziemu w toдзе, a ten szybko skinął głową.

– Widzi Pan więc, Panie Hitler, że nie ma najmniejszej potrzeby podnoszenia głosu. Proszę tego więcej nie robić.

W największej z sal berlińskiego sądu zapadła absolutna cisza. Kilka chwil później Adolf Hitler znów zaczął mówić. Po raz pierwszy w swojej politycznej karierze, robił to cicho. I nigdy tego nie zapomniał Littenowi.

Pod koniec kwietnia 1945 roku w Dachau zjawili się Amerykanie. Byli wstrząśnięci tym, co zobaczyli, a przecież od lądowania w Normandii widzieli naprawdę wiele. Wszędzie poniewierały się zwały ciał. Wszechobecne wychudzone trupy. W pasiakach i nagie, świeże i w stanie zaawansowanego rozkładu. Śmierć unosiła się nad obozem. Wkrótce rozległy się karabinowe salwy i trupów przybyło. Te jednak były w niemieckich mundurach.

Kiedy zakomunikowano Antonowi, że jest wolny, ważył 39 kilogramów. Jego ciało było wyniszczone głodem, chorobami, wysiłkiem, torturami. Dusza zaś była zmaltretowana doznanymi i oglądanymi okrucieństwami, ludzkim złem. Mimo to żył. Żył, mimo wszystko...

Wszyscy, z którymi rozmawiał, odradzali mu tę podróż. Wciąż słyszał to samo – po wschodniej stronie Odry już rządzą Ruscy i Polacy. Gwałcą kobiety, zabierają cały dobytek, a mężczyzn albo zabijają, albo zamykają w w obozach. Nie ma po co tam wracać – tak mówił każdy napotkany Niemiec. Anton jednak nie ufał Niemcom, a obozów chyba już się nie bał. Znał je dobrze, spędził tam przecież jedną trzecią życia.

W połowie lipca 1945 roku słońce intensywnie ogrzewało ulice Kontoppu, który niedawno stał się Konotopem. Zniknęły z niego czerwone flagi ze swastykami, a wiele domów porzuconych przez dawnych lokatorów zasiedlili nowi. Idąc się przez rodzinną wieś Anton widział w oddali kilku z nich. Nikt go jednak nie zaczepił gdy wolno szedł przez Markt, teraz już Rynek. Zatrzymał się na chwilę – patrzył na potłuczone szyby witryn zakładu fryzjerskiego Petzolda. Miesiąc wcześniej dowiedział się od jednego z przypadkowo napotkanych uchodźców z Kontopp, że to właśnie fryzjer doniósł na Antona. Dziś ta wiedza nie była mu do niczego potrzebna. Potrzebował brzytwy, pędzla, mydła i kawałka lustra, by doprowadzić zarost do porządku. Wszedł więc do środka – salon był splądrowany, jednak niedokładnie. Ukradziono większość mebli i wyposażenia, ale wszystko czego potrzebował, Anton znalazł. Włożył przedmioty do brezentowego worka, który dostał od Amerykanów opuszczając Dachau.

– Niech będzie, że jesteśmy kwita, Josef – rzucił w pustą przestrzeń i ruszył nie oglądając się za siebie. Rozgniatane szkło trzeszczało hałaśliwie pod grubymi podeszwami znoszonych żołnierskich butów.

Długo stał u podnóża wzniesienia, jakby się z nim mierzył, jakby mierzył się ze wspomnieniami, jakby szacował swoje siły. W końcu westchnął głęboko i zgarbiony ruszył pod górę. Równym, miarowym krokiem pokonywał kolejne metry. Długo trwał marsz pod górę nim dotarł do domu. Nie spieszył się. Doskonale wiedział, że nie ma do kogo się spieszyć. Złudzeń co do losów Sary nie żywił od dawna, wiedział przecież co o Żydach myślał Hitler i jego towarzysze. W czasie wojny nawet za druty Dachau docierały informacje. Po tym, co sam przeszedł, nocami na drewnianej pryczy modlił się do wszystkich Bogów, by podobne cierpienia ominęły jego ukochaną, a śmierć była szybka. Któreś z bóstw najwyraźniej wysłuchało go. Jesienią 1938 roku Sara pojechała do Berlina, by zabiegać o zwolnienie Antona z obozu. Przez cały dzień, 9 listopada, tułała się po urzędach usiłując dowiedzieć się czegokolwiek. Wszędzie ją zbywano, odsyłano na kolejne piętra, do kolejnych budynków. Była zmęczona fizycznie i psychicznie, gdy gdy późnym wieczorem wracała do hoteliku przy Oranienburger StraÙe. Najpierw usłyszała niezrozumiałe wrzaski, a dopiero potem zobaczyła tłum ciskający kamieniami w sklepowe wystawy. Ktoś strzelał, kogoś wleczono ulicą, ktoś próbował podpalać synagogę. Przerazona puściła się biegiem. Kilka chwil później upadła na chodnik. Na bruku szybko utworzyła się kału¿a z krwi wypływającej ze skroni przestrzelonej przypadkowo, najprawdopodobniej, kulą.

Przez otwarte na oÙcie¿ drzwi wszedł do sieni i dalej do kuchni. Po kilku krokach w powietrze wzbily się tumany kurzu. Drobne cząsteczki pyłu wirowały w smugach słonecznego światła wpadającego do kuchni mimo brudnych szyb. Rozglądał się po miejscu, które było całym jego ¿yciem. Niewiele pozostało ze skromnego umeblowania. Stary stół i jedno rozchwierutane krzesło. Ulubione krzesło Sary. Usiadł na nim i skrył twarz w dłoniach. Mimo wszystko, właśnie tu pragnął prze¿yć dni, które mu jeszcze pozostały. W domu na wzgórze.

Polska władza chciała się pozbyć Antona. Nie ¿yczyli sobie Niemców w gminie. On się jednak uparł. Bez słowa sprzeciwu przyjmował wszystkie warunki jakie mu stawiano. Niemieckiego obywatelstwa zrzekał się niemal z uÙmiechem. Dostał polski dowód osobisty, a w nim poprawioną wersję imienia i bardziej z polska brzmiące nazwisko. Jego obecnoÙ nie podobała się tak¿e

niektórym nowym konotopianom. Żalu jednak nie żywił do tych, którzy za jego plecami nazywali go szkopem, frycem, czy szwabem. Dobrze wiedział, że mają powody by nienawidzić każdego Niemca. Znał te powody doskonale i wiele z nich podzielał.

Z niewyjaśnionego powodu część przybyszów zza Buga zaakceptowała „Antoniego”. Może dlatego, że był najchudszy, najślabszy, najnędzniejszym z Niemców, jakich kiedykolwiek widzieli. A może przyjęli go między siebie dlatego, że właśnie ten mizerny, kaleki Niemiec odważył się zostać w miejscu, które uważał za swoją ojczyznę, choć wiedział, że znajdzie się samotny wśród obcych. Im samym nie starczyło odwagi na podjęcie tak desperackiej decyzji. Któregoś dnia przyjechały po nich ciężarówki i furmanki. W milczeniu spakowali swój dobytek i dali się zawieźć na stację kolejową. Na zawsze opuszczali swoje Bohorodczany, Smotrycze, Czortkowy, Kołomyje. Posłusznie wykonywali polecenia ludzi nakazujących im porzucić domy. W ciszy żegnali miejsca, w których przychodzili na świat, w których rodziły się ich dzieci, w których umierali ich ojcowie. Jechali tygodniami na zachód, by próbować zasypiać w cudzych łóżkach, pod którymi wciąż jeszcze poniewierały się czyjeś niespełnione sny.

Z pewnością nowych mieszkańców Konotopu zaskoczyło to, że Antoni starał się nie mówić do nich po po niemiecku. Na początku próbował się z sąsiadami komunikować na migi i angielskimi zwrotami wyczytywanymi z niemiecko-angielskich rozmówek, które dostał po oswobodzeniu z obozu. Problemem było to, że tylko jeden z konotopskich zabużan posługiwał się angielszczyzną. Czekański liczył jej trochę jako bosman w przedwojennej Marynarce Wojennej, a później w obozie jenieckim. I to właśnie on pomógł Antoniemu stawiać pierwsze kroki w nauce języka polskiego. Rychło obowiązki nauczycielskie przejął kolejny przesiedleńca – ksiądz Halecki, znał niemiecki, a nad Obrę przyjechał objąć parafię. Determinacja z jaką chudy Niemiec uczył się polskiego przysporzyła mu szacunku wśród sąsiadów. Jeszcze większy respekt zyskał kiedy okazało się, że zna się na sadownictwie, pszczelarstwie i uprawie tytoniu, a swoim doświadczeniem dzieli się bezinteresownie. Chętnie korzystano z jego rad i szybko zaczęto nazywać go Miczurinem. Jednak do pełnej komitywy długo go nie dopuszczano. Stał się swój dopiero kiedy ożenił się z Polką, ochrzcił syna po katolicku i dał

mu takie imię, na jakie nie zdecydowałyby się z pewnością żaden Niemiec – Szczepan.

Urodziła go Karolina, która spędziła czas wojny we Fryzji jako przymusowa robotnica. Każdego dnia dwukrotnie doiła trzysta krów, karmiła je, a dodatkowo gotowała dla wszystkich robotników w gospodarstwie. Czasem jeszcze, kiedy niemiecka opiekunka miała wolne, musiała zajmować się trójką dzieci gospodarzy.

Trzy długie lata. Nocami płakała. Skóra wewnętrznej części dłoni paliła od ciągłego kontaktu z tysiącami krowich wymion. Bolały sińce spowodowane kopnięciami racic. Całe ciało cierpiało od ciągłego przepracowania. Cierpiała też dusza. Rozpaczliwie tęskniła za mamą. A w głowie nieustannie przybywało jej przerażających obrazów, zapachów, odgłosów. Do końca życia zapamiętała przejmujący, jakby niemowlęcy pisk, który usłyszała pędząc krowy z pola. Okazał się krzykiem bólu konającego jeża. Wygłodniali sowieccy jeńcy dopadli nieszczęsne zwierzątko, błyskawicznie żywcem obdarli je ze skóry i pożarli na surowo. Kilka chwil później dwóch z nich zostało zatłuczonych kolbami na śmierć. Uciekła od tego obrazu do obory. Szlochała w niej nie wiedząc, czy bardziej oplakuje jeża, czy Rosjan...

Do Konotopu trafiła w 1948 roku, po tułaczce w poszukiwaniu miejsca, w którym znalazłaby spokój. Wracać nie miała gdzie, bo rodzinne Kuty znalazły się poza granicami Polski. A jej najbliżsi, rodzice i rodzeństwo już na nią nie czekali. Nie zdołali uciec z Wołynia nim popłynęły tam potoki krwi...

Dotarła nad Obrę i spotkała tu wielu podobnych sobie życiowych rozbitków. Nie związała się jednak z żadnym z zabużańskich swojaków. Coś pchnęło ją ku Antoniemu, jedyemu Niemcowi we wsi. Był zabiedzony, nie władał w pełni jedną z rąk, brakowało mu zębów. Nie wyglądał najlepiej, ale otaczała go aura dobroci i spokoju. W zamian za pomoc w gospodarstwie, dał Karolinie izbę, jedzenie i wszystko inne czym mógł się z nią podzielić. Przyłgnęli do siebie natychmiast. Choć Antoni po polsku mówił dość pokracznie, to miała wrażenie, że nie potrzebują wielu słów by osiągnąć porozumienie.

Zostali razem aż do śmierci. Jej śmierci. Ta zaś przysłała wraz z narodzinami ich jedyne dziecko. Synek przeżył trudny poród, ale nie udało się powstrzymać gwałtownego krwotoku u matki...

Który to już raz Antoni wracał z wiejskiego cmentarza. Tym razem jednak nie był sam. Pnąc się w górę, ku domowi na wzgórzu, mówił coś do niemowlęcia tulonego w ramionach. Ono zaś odpowiadało entuzjastycznie swoim gaworzeniem i wymachiwaniem różowych rączek.

Któregoś dnia, miałem wtedy pewnie z pięć lat, wziął mnie na kolana, wręczył niedużą fotografię i powiedział:

– To twoja mama. Zapamiętaj ją...

Pamiętam. I mam to zdjęcie do dziś. Kartonik nieco już pożółkł, ale obraz jest nadal czytelny, tak jak podpis na odwrocie, wykonany niebieskim ołówkiem kopiowym – *Karolina, 1951*. Z fotografii spogląda ładna dziewczyna. Gładko uczesane włosy spiętrzają się w niedużym koku nad delikatną twarzą. Kiedy fotograf zwalniał migawkę jej oczy błyszczały, a usta układały się w dyskretny półśmiesiek. Widzę na tym zdjęciu kobietę, która ani nie ogląda się w przeszłość, ani nie próbuje zerkać w przyszłość. Nie patrzy prosto w obiektyw, lecz w oczy człowieka, którego pokochała. A jej spojrzenie mówi wszystko.

Lokomotywa sapała zdyszana, a ja obserwowałem krajobrazy powoli przesuwające się za oknem. Co kwadrans pojawiał się budynek, na którym usiłowałem, tak jak uczył tata, odczytywać duże czarne litery na białym tle. Składałem z nich wyrazy – nazwy kolejnych stacji, które mijaliśmy. Czasem pozwalał mi otworzyć okno i przez chwilę napawać się intensywnym zapachem pary wodnej przemieszanym z woniami palonego węgla, smarów i rozgrzanej stali. Był jeszcze smak mocnej słodkiej herbaty popijanej z półlitrowej butelki po wódce. Dla pięciolatka wszystko było atrakcją, nawet zawinięte w gazetę kanapki z żółtym serem i obskubywanie ze skorupki jaj gotowanych na twardo. W wagonie ciągniętym powoli przez parowóz, ten skromny posiłek smakował niczym najwspanialsza uczta. Zwłaszcza w towarzystwie Antoniego, który wsuwał żylastą dłoń w moje włosy i pieszczotliwie w nich gmerał. Niskim, spokojnym głosem objaśniał wszystkie tajemnice świata, które chciałem poznać.

Kiedy dojeżdżaliśmy do miasta, byłem odprowadzany do cukierni, gdzie pod dyskretną opieką sympatycznej kelnerki spędzałem kilka godzin. Zajadałem się ciastkami, popijałem lemoniadę, rozmawiałem ze starszymi paniami, które przychodziły tu na kawę. Lubiłem też obserwować przez cukierniane szyby życie wielkiego miasta, jakim wówczas wydawała mi się Nowa Sól. Trochę tylko przerażały mnie te wszystkie auta. Ryczały silnikami i trąbiły głośno pędząc po brukowanych i asfaltowych ulicach. Cieszyłem się, że nie muszę nimi jeździć. Wolałem ciszę i spokój naszego domu na wzgórzu.

Czas w cukierni upływał niepostrzeżenie. Tata wracał zawsze szeroko uśmiechnięty, mierzwił przelotnie moją fryzurę, płacił rachunek, brał mnie za rękę i szliśmy nad Odrę. Przez dwa kwadransy spacerowaliśmy po rzeczonym porcie. Często przystawaliśmy by pogapić się na wszystkie te barki, krypy i holowniki. Zwykle bez zbędnych słów słuchaliśmy skrzeczenia wszędobylskich mew, plusku fal odbijających się o betonowe nabrzeża, pokrzykiwań marynarzy, dudnienia wysokoprężnych silników i pobrzękiwania łańcuchów o blachy burt.

A potem znów był pociąg i nauka czytania: N-O-W-A S-Ó-L, O-T-Y-Ń, S-T-A-N-Y, B-O-B-R-O-W-N-I-K-I, L-I-P-I-N-Y... Zmęczony wrażeniami, zasypiałem z głową złożoną na ojcowskich kolanach. I tak niezmiennie przez kilka lat. Co miesiąc, a czasem częściej.

Nie wiedziałem, nawet nie przeczuwałem, że za naszymi podróżami do miasta czai się przyszłość. Kiedy ja opychałem się cymesami w cukierni, tata chodził do szpitala. Ekspansja nowotworu postępowała powoli, ale nieuchronnie. Antoni wiedział, że umiera i ratunku dla niego nie będzie. Nie poddawał się jednak, robił wszystko by być ze mną jak najdłużej.

Któregoś dnia skończyły się wspólne kolejowe podróże do Nowej Soli. Tata utknął w szpitalnym łóżku, a mnie wzięła na przechowanie najbliższej mieszkająca sąsiadka. Raz w tygodniu jeździła ze mną na szpitalne odwiedziny.

Widziałem jak bardzo cierpiał. Wszystkie te ciecze spływające do żył przez elastyczne rurki, którymi był opleciony, najwyraźniej nie przynosiły mu ulgi. Słabym głosem poprosił bym usiadł przy nim na łóżku. Przytuliłem

się i poczułem, że tak dobrze znanym mi gestem, wsunął wychudłe palce w moje włosy. Kiedy ich ruch ustał, podniosłem się delikatnie by go nie zbudzić. Spojrzałem na jego twarz. Była jasna, miałem wrażenie, że się uśmiecha, lecz oczy... Znieruchomiały. Po policzku pokrytym siwą szczecina płynęła samotna łza.

Pozwolili mi zostać u sąsiadki do pogrzebu. Potem, nim trafiłem do domu dziecka, mogłem jeszcze pójść na nasze wzgórze by zabrać kilka swoich rzeczy. Szedłem wolno. Piąłem się pod górę ścieżką wydeptaną przez Antoniego.

Krzysztof Szkulatowski

Obrączka

Elektroniczny zegar ścienny pokazywał godzinę 16.45. Wychodzący z pokoju młody człowiek poprawiał energicznie wysuwającą się ze spodni koszulę i już chciał wyjść na główny korytarz gdy spostrzegł siedzącą przy biurku postać. Zatrzymał się, spojrzął na zegar i zmrużył jedno oko.

- Co pan tu robi komisarzu Bernaciak? - zapytał z lisim uśmiechem.

- Od godziny i czterdziestu pięciu minut jestem w domu. Jak widać - kwaśno odparł pytany.

Młody uśmiechnął się, zmrużył drugie oko i krótko stwierdził:

- No, to tylko pozazdrościć.

Bernaciak sięgnął do kabury, udając że chwytając za broń. Młody uśmiechnął się, chwycił za swoją, po czym obaj się roześmiali.

- Będziesz starszy, to sam tak będziesz „wracał” do domu o państwowej godzinie. I nie licz na to, że cię jakaś organizacja dobroczynna będzie bronić przed sądem za wydłużanie czasu pracy przez szefostwo! - rzucił jednym tchem komisarz.

Mówił to do pleców młodego, ten bowiem w międzyczasie odwrócił się na pięcie i chwycił klamkę do bramy głównej komisariatu. Bernaciak lubił tego nowego śledczego. Mimo, że świeżak, nigdy się nie spóźniał, miał nawet poukładane w głowie, no i co nie mniej ważne, znał kilka filmów nakręconych gdy jeszcze go nie było na świecie. A to u Bernaciaka zawsze dużo znaczyło. On sam mimo swoich 56 lat dziwił się, jak można było nie znać „Casablanki” czy „Bruneta wieczorowa porą”. Gra aktorska a nie komputery, żywi aktorzy a nie wypchane botoksem kukły i reżyserzy a nie youtuberzy, którzy znaleźli się na krześle z napisem „reżyser” przez pomyłkę!

Zachciało mi się wspominek - zachnął się. Od prawie dwóch godzin powinienem być w domu a tu jeszcze trzeba skończyć papierologię dla szefa.

Na szczęście zostały dwie linijki, kilka kropek, przecinków i witaj lodówko z zimnym piwem w środku!

Wpisał ostatnią linijkę, kliknął ikonkę zapisz i już miał z westchnieniem ulgi ruszyć drogą młodego sprzed kilkunastu minut gdy na jego telefonie wyświetlił się numer. Niestety TEN numer. Wcisnął zieloną słuchawkę i usłyszał głos Zygmunta Marchlewicza, komendanta posterunku.

- Michał, gdzie jesteś? – usłyszał zachrypnięty głos.

Bernaciak wziął głęboki oddech, bo od jego odpowiedzi zależało czy wypije swoje piwo za pół godziny, czy za czas bardzo nieokreślony. Być może cholernie nieokreślony. Chwilę się wahał, czy nie skłamać. Marchlewicz znany był ze swojej niechęci do ruszania się spoza biurka z wyjątkiem udania się do pobliskiej restauracji, gdzie zawsze jadał obiady. Na obiad było jednak za późno – pomyślał Bernaciak - i skoro dzwoni to ma powód. A skoro tak, to kłamać nie warto.

- Piętro niżej, szefie. Co jest? Złamany paznokcie?

- Nie chrzań tylko przyjdź tu do mnie na górę – rzucił krótko Marchlewicz.

Bernaciak nie obawiał się wizyt u szefa. Znali się od lat. Jedna podstawówka, jeden ogólniak i ten sam rocznik w szkole policyjnej. Bez pukania nacisnął klamkę i zobaczył szefa z kartką papieru w ręce skierowanej nigdzie indziej tylko w kierunku wchodzącego komisarza.

- Mamy trupa - beznamiętnie stwierdził Marchlewicz.

- To mi nowość – stwierdził Bernaciak. Tu są albo trupy, albo złodzieje albo naciągacze. To małe miasto z bogatą kroniką. Nie pierwszy i nie ostatni trup. Nie mogło to poczekać na jutro?

- Nie mogło. I to w dodatku jest bardzo nieświeży trup.

- A co w nim takiego nieświeżego? Oddech? – Bernaciak pozwolił sobie na żart – a jak stary to trup?

- Starszy od ciebie.

- Technicy policyjni są u nas najlepsi na świecie. W kilka chwil wiedzą ile lat ma truposz he, he...

- Jedź tam a sam się przekonasz skąd to wiedzą. Łatwo trafisz. To przy budowie wiaduktu. Termin oddania za miesiąc a ten szkielet tylko blokuje pracę. Bez nas nie mogą zacząć a w urzędzie będą się denerwować. Jedź, jedź tam. Zrób co trzeba i przynieś mi kwit z podpisem a ja dołożę pieczętkę. Wszyscy będą zadowoleni. Aha, lekarz już tam jedzie.

Do miejsca odnalezienia szczątków normalnie dojechałby w 15 minut, jednak w związku z budową wiaduktu droga wydłużyła się dwukrotnie. Na miejscu standardowo straż pożarna, patrol w radiowozie i człowiek w białym kitlu. Brakowało tylko karetki.

- A gdzie karetka?

Człowiek w kitlu domyślając się, że to pytanie do niego wskazał na zegarek na ręce i odpowiedział.

- W terenie. Jakiś zawał. Przez telefon poinformowali nas, że chodzi o jakieś stare sprawy więc nie było potrzeby zajeżdżania jak do karambolu, to przyjechałem swoim wozem.

- Tak w ogóle to cześć!

- Cześć. Ty w pracy czy po? Bo ja już po.

- Jeszcze na dyżurze.

- No dobra, co my tu mamy.

Już pierwszy rzut oka na rozkopane miejsce dawał pojęcie czego można się tu spodziewać. Wymieszana brązowo-żółta ziemia, wisząca nad szczątkami łyżka koparki, kawałki spróchniałego drewna. I nieodłączna grupka gapiów którzy takie informacje rozpoznają chyba po węchu lub jakimś szóstym zmysłem. Gdy Bernaciak podszedł bliżej zwrócił uwagę na kilka dużych odłamków leżących przy szczątkach. Sądząc po wielkości szkieletu i poszczególnych kości raczej kobieta – przetwarzał w myślach. I zginęła raczej z powodu tych odłamków niż od noża. Bez szczególnej ostrożności przechadzał się w pobliżu szczątków. Gdy pochylił się nad nimi, końcówką buta uderzył w coś twardego. Około metra od głównego korpusu znajdowały się kości ręki. Na palcu serdecznym widniało coś co mogło być tylko jednym. Obrączka. Pewnie złota – przeszło mu przez myśl. Bernaciak – z zawodowego

nawyku – pomyślał, że warto to oddać do laboratorium. Ściągnął ją z palca i zawiązał w chusteczkę. Nawet nie zauważył, że od kilku minut ma za plecami lekarza.

- Może pan to zabrać. Ja tu i tak nie mam nic do roboty. Podpiszę co trzeba i niech się budowlańcy biorą za robotę. Wszyscy będą zadowoleni. Pan i ja też.

- Ktoś mi to już dzisiaj mówił...

- A widzi pan!

Nazajutrz Bernaciak przekazał obrączkę do laboratorium kierując się bardziej ciekawością, niż procedurami. Stare szczątki nie były priorytetem. Były wrzodem na tyłku i zawalidrogą dla wszystkich policjantów. Tylko tacy jak ja są na bakier ze świętym spokojem i mają problem ze swoją ciekawością – mówił do siebie w myślach.

Z zamyślenia wyrwał go telefon. Pracował tu tyle lat, że był na ty z większością pracowników. Z tymi z laboratorium również.

- Cześć Berni, mam wiadomości które zachwieją światem w posadach.

- Coś z tą obrączką? Mów.

- Obrączka wykonana jest z metalu który nie występuje na Ziemi. Stary, odkryłeś dowody na istnienie i wizyty obcych na naszej planecie!.

Zanim Bernaciak zebrał myśli i zanim przypomniał sobie o skłonności pracowników laboratorium do żartów, usłyszał w słuchawce:

- Obrączka, na pewno z czasów wojny. Wygrawerowana data 03.02.1945 i imiona: Karolina i Tomasz. Tyle. Możesz wpaść dzisiaj i ją odebrać. Na razie.

Na razie – mruknął sam do siebie. Spojrzał na zegarek, na kalendarz i na swój telefon. Dużo czasu dziś. Pewnie dużo czasu w tym tygodniu. Od wczoraj nikt nie dzwonił z jakąś nową robotą.

Że też ja muszę znać tylu ludzi w tym miasteczku - westchnął. Opadł na krzesło zbierając myśli. Sprawa, jeśli można to było tak nazwać, posuwała się naprzód w tempie kosmicznym jak na zawodowe standardy. To, że znał

tylu ludzi ułatwiało mu pracę i oszczędzało sporo czasu na liście spraw które mógł lub powinien załatwić. No i miał jakieś pasje oprócz starych filmów. Konik historyczny omal nie doprowadził kiedyś do lądowania na studiach historycznych a później, kto wie, może na jakiejś uczelni. Zamiast tego wybrał szkołę policyjną i solidną półkę na książki w domu, przeważnie o historii. Trzeba wpaść do braciszka Macieja. Jest okazja, a dawno się nie widzieliśmy....

Drogę do klasztoru znał w miasteczku w zasadzie każdy. I to niezależnie tego z którego kierunku się tam szło. Budynek mimo, że niezbyt wysoki, swoim charakterystycznym kształtem wyróżniał się wśród zabudowy starówki. Czerwona cegła, czerwona dachówka, dużo zieleni wokół murów. Można by rzec klasyczny widok z równie klasycznej widokówki jeszcze sprzed wojny. Bryła klasztoru widoczna z daleka, oprócz punktu orientacyjnego dla początkujących taksówkarzy, kierowców i turystów raz na jakiś czas przyjeżdżających do miasteczka, była też oazą dla tutejszych staruszków i ludzi ceniących sobie ciszę i brak miejskiego zgiełku. Mimo, że było to centrum nikt z rządzących od lat włodarzy miasta nie zdecydował się na otwarcie ruchu samochodowego przy klaszorze. Wynikało to albo z szerokich horyzontów władz miasta lub z ich lenistwa. Nie tylko Bernaciak doceniał ten fakt.

Wiszące u bramy grube mosiężne koło było jedynym „dzwonkiem” informującym zakonników o zbliżających się gościach. I mimo rozwoju techniki sprawdzało się znakomicie.

Bernaciak dotarł pod bramę i już chwycił w rękę „dzwonek” gdy brama klasztorna się otworzyła i w szczelinie zauważył znaną mu postać w charakterystycznym brązowym habicie.

- A ty skąd..... - nie dokończył zdania, bo pytany mnich stwierdził wchodząc mu w słowo.

- Ty to jesteś może religijny, ale na pewno nie wierzący. Skądś to wiem, że przyjdiesz i wierz mi – nie z prasy czy radia, ani od wspólnych znajomych. Szpiegów też nie rozstawiam przy komisariacie. Mówiąc to otworzył szerzej bramę i zachęcającym gestem wpuścił gościa do środka.

- Tak w ogóle, to cześć Bernardyn – rzucił po chwili Bernaciak. Mam sprawę i to niekoniecznie niecierpiącą zwłoki.

Bernaciak wiedział, że pytany nie był bernardynem. Wiedział też, dlaczego tak a nie inaczej Tomasz Zagoński był nazywany już w ogólniaku. Zawsze cichy, choć nie całkiem pokorny. Częściej przy książkach, niż przy piwie. Wakacje spędzający raczej na pomaganiu dziadkom na wsi przy żniwach, niż na bieganiu po plaży czy nad rzeką. Znajomi twierdzili, że zostanie księdzem albo weterynarzem. Ta pierwsza połowa pomyliła się niewiele. Bernaciak utrzymywał bardzo sporadyczny kontakt z Zagońskim, teraz bratem Maciejem. Widywali się najczęściej na starówce lub w uliczkach miasta gdy jeden i drugi załatwiali swoje sprawy. Kończyło się na machnięciu ręką lub uściskiem dłoni i kilkoma słowami o tym co w domu, co ze wspólnymi znajomymi ze szkoły czy z dzielnicy.

Gdy już naleźli się wewnątrz klasztornych murów, w pomieszczeniu które było jakąś małą graciarnią, ale w której panował jednak pewien nie dający się wyrazić słowami porządek, Zagoński usiadł przy stole, podsunął Bernaciakowi krzesło i zapytał:

- No, to wał, jaka to sprawa.

Pytany zaczął mówić rozglądając się jeszcze z ciekawością po pomieszczeniu.

- Na pewno słyszałeś o remoncie drogi przy wiadukcie?.

Zagoński lekko skinął głową i milczał czekając na dalszą cześć.

- O tym, że roboty wstrzymano pewnie nie słyszałeś, bo takimi informacjami, nikt się nie emocjonuje. Wstrzymano, bo w czasie prac znaleziono tam szczątki ludzkie.

Widząc powiększającą się źrenicę Zagońskiego Bernaciak szybko dodał – bardzo stare szczątki. Kobieta, raczej młoda, data śmierci prawdopodobnie w okolicach drugiej wojny światowej. Wiem, a raczej domyślałem się, że gdzieś ze stycznia, lutego 1945 roku.

- A skąd ta domyślność?

- Kobieta miała na palcu obrączkę ślubną z wygrawerowaną datą i imionami: 3 lutego 1945. Karolina i Tomasz. Z tego co wiem i pamiętam,

w czasie okupacji Niemcy wprowadzili nowe prawa dotyczące zawierania małżeństw na terenach Generalnej Guberni i na terenach włączonych do Rzeszy. Generalnie było pod górę. I tak sobie myślę, że chociaż była to końcówka i przybysze zza Odry myśleli tylko o tym, żeby wyjść z tego cało, to ta Karolina i Tomasz chcieli wziąć ślub kościelny. Kiedyś jak wiesz z tymi konkordatami było inaczej. Ten klasztor z kościołem przyklasztornym był wtedy tak samo jak dziś jedynym w miasteczku. I tak sobie pomyślałem, że wy jako najstarsza instytucja na świecie i tutaj, macie nie spalone archiwa i jakieś kwity się zachowały. Papiery, zapowiedzi przedślubne czy coś takiego. No, bo ile Karolin i Tomaszów mogło tu chcieć zawrzeć ślub w tamtym czasie? Raczej niewielu.

Zagoński przeciągnął się, oparł ręce na stole, spojrzął na Bernaciaka i powiedział:

- Berni, ciebie to zawsze nosiło. Ta Karolina i Tomasz, to jacyś twoi przodkowie? Rodzina?

- Nic o tym nie wiem, raczej nie. Jako tako korzenie rodzinne znam, a takich imion u nas akurat nie było. Więc raczej, to nie była rodzina.

- Więc po co ci te śledztwo?

- Możesz się zdziwić, ale sam nie wiem. Może stary już jestem, może przecucie, może mam za dużo wolnego a może ta sprawka, bo sprawą jej nazwać nie można, za łatwo mi idzie i szkoda by było ten strumyk dobrych działań zatrzymać. Poza tym człowiek uczy się całe życie i może teraz też ...

Zagoński tylko się uśmiechnął i stwierdził:

- Z ciebie zawsze był dziwak. Z tych pożytecznych dziwaków. Masz chwilę czy to nie może czekać?

- Chwile to mam. Nawet długą. Akurat w okolicy nikogo nie zamordowali i nie okradli. Jak by tak było, już by do mnie wydzwaniali. A że mam fart i przypadkiem...

- Pamiętaj, nie ma przypadków, są tylko znaki – przerwał mu Zagoński, podnosząc się z krzesła. U nas papiery są faktycznie w dość dobrym stanie i wojna ich nie przetrzebiła. Braci odpowiedzialnych za te sprawy też na szczęście nie mieliśmy najgorszych, więc może coś się da zrobić. Zrobię ci

herbaty, ciasto jakieś mam, posiedzisz, poczytasz, książka też się znajdzie – dodał. Idę do archiwum. Na szczęście to nie jest wielkie archiwum, rodem z filmów o archiwach watykańskich.

Gdy Zagoński zniknął za drzwiami, Bernaciak zajął się ciastkami i herbatą a potem książką. W tej właśnie kolejności. Nie spodziewał się, że sprawa potrwa 15 minut i nie pomylił się. Potrwała półtorej godziny, która minęła nie wiadomo kiedy. Ciszę w pomieszczeniu przerwał powrót brata Macieja z poślizniętymi papierami w ręku.

- Po twojemu to fart – powiedział – ale pamiętaj, są tylko znaki. Zrobisz ci kopie tych papierów i będziesz to musiał sprawdzić w starostwie. Powinni mieć spisy mieszkańców.

W starostwie nie musiał wyciągać nawet legitymacji służbowej. Tu też większość pracowników go znała a pani Hania z archiwum znała go najlepiej. To miasto małe, w nim spędzam życie całe – Bernaciak przypomniał sobie słowa piosenki jak ułał opisującej jego sytuację. Odbierając wydruk od szefującej temu wydziałowi pani Hani przeczuwał co usłyszy. Nie zawiódł się.

- Ma pan szczęście panie komisarzu. Większość dokumentów dotyczących przeszłości miasteczka zachowała się. Wojny wojnami, ale nas jakoś to oszczędziło. Ma pan te dane o które pan prosił. Nazwa ulicy też się zgadza. Przed wojną ulica Długa, w czasie wojny Lange Strasse, po wojnie, po dziś dzień znowu Długa. Nie mamy wiadomości czy ten pan żyje, to już inny wydział, ale ma pan adres, możliwe, że numery domów się nie zmieniały. Powodzenia zyczeń!

Bernaciak dojechał na ulicę Długą 34 w dwadzieścia minut. Zatrzymał się przed domem którego nie można by było nazwać małym ani dużym. Najzupełniej uczciwie można by go było nazwać domem w sam raz. Brama, kuty płot, za bramą podwórko z podjazdem dla samochodów, w głębi podwórka dom. Na szczęście bez ujadającego i groźnie szczerzącego kły psa. Bernaciak przeszedł podwórko, doszedł do drzwi i wcisnął dzwonek. Już dochodząc do drzwi widział w zarysie firanek przyglądającą mu się postać, wiedział więc, że w domu ktoś jest. Gdy stanął przed otwierającymi się drzwiami usłyszał:

- Dzień dobry, pan do kogo?

Wyciągnął legitymację i podsuwając ją pod nos stojącej w drzwiach kobiety rzucił:

- Komisarz Michał Bernaciak, policja.

Widząc zdziwioną minę kobiety dodał dla uspokojenia:

- Nic się nie stało, nikt nie zginął, nikt nic nie ukradł. Mam tylko pytanie, czy w tym domu mieszka Tomasz Czerniawski?

- Tak, to mój dziadek, nazywam się Beata Grójecka... ale o co chodzi?

- Mogę wejść? Wyjaśnię to pani.

Bernaciak w myślach ustawiał sobie przebieg rozmowy. Wiedząc, że zawsze należy zaczynać od konkretów od razu do nich przeszedł.

- Powiem krótko. W miasteczku, przy przebudowie wiaduktu, ekipy budowlane natrafiły na ludzkie szczątki pochodzące z okresu drugiej wojny światowej. Wiem, że brzmi to niekoniecznie realistycznie, ale udało się nam je zidentyfikować. Tak na dziewięćdziesiąt kilka procent, ale ja osobiście uważam, że na sto procent. Osobą która zginęła prawdopodobnie w lutym 1945 roku, przy wiadukcie, była Karolina Brzostowiecka. Czy...

Nie dokończył. Na twarzy Beaty Grójeckiej pojawiło się najpierw nienaturalne zdziwienie a po chwili łzy.

- Proszę chwilę poczekać – Beata Grójecka z trudem wymawiała słowa, trzymając twarz w dłoniach. Opuściła ręce patrząc prosto w oczy Bernaciaka. Trwało to dłuższą chwilę po której zaczęła wolno mówić.

- Mój dziadek, Tomasz Czerniawski miał w czasie wojny narzeczoną, Karolinę Brzostowiecką. W lutym 1945 roku mieli wziąć ślub. To akurat wiem, bo to jest w całej naszej całej rodzinie znana opowieść. Dziadek miał dwie siostry i brata, ja jestem wnuczką tego brata, ale dziadek Tomasz jest przez wszystkich w rodzinie nazywany dziadkiem. W tym czasie gdy mieli się pobrać, z tą Karoliną, front był podobno oddalony o wiele kilometrów od miasteczka. Ale wie pan, na wojnie jest różnie. Rosjanie zbliżyli się niespodziewanie, zaskoczyli nawet Niemców a co dopiero polskich mieszkańców. I to wszystko działo się w końcu stycznia, w roku zakończenia wojny. Ta Karolina mieszkała w drugim końcu miasteczka, a umówili się

z dziadkiem na załatwianie spraw związanych ze ślubem. Te obrączki zamówili dużo wcześniej i każde nosiło je na palcu, jeszcze przed ślubem. Do tego ich spotkania jednak nie doszło, bo w mieście pojawili się Rosjanie, zaczął się ostrzał, walki, wie pan, jedno wielkie zamieszanie. I ta Karolina zniknęła, nie wiadomo gdzie i jak. Po ucieczce Niemców dziadek zaczął poszukiwania, ale nigdy jej nie znalazł. Wie pan – westchnęła - on nigdy się nie ożenił. U siebie w pokoju trzyma tę drugą obrączkę z takim samym napisem.

Milczeli przez chwilę, po czym Bernaciak zaczął mówić:

- Tak samo jak pani, domyślam się, że Karolina Brzostowiecka musiała wtedy znajdować się gdzieś w okolicach wiaduktu i tam pewnie zginęła. I powiem pani, że nie ma chyba potrzeby żebym spotykał się z pani dziadkiem.

Bernaciak wstał, rozejrzał się po ścianach i po chwili skierował się ku drzwiom. Sam dotarł do wyjścia, zostawiając zamarłą Beatę Grójecką w pokoju. Wsiadł do swojego starego dobrego auta, przejechał uliczkami starego miasteczka, myśląc cały czas o tym, że robi rzeczy o które nigdy by siebie nie podejrzewał.

Dwa dni później siedząc przy swoim biurku w komisariacie zobaczył wchodzącą do środka Beatę Grójecką. Wskazał miejsce przy biurku. Grójecka skinęła odmownie.

- Ja tylko na chwilę. Wie pan, opowiedziałam to wszystko dziadkowi. Popłakał się, kazał panu podziękować. Powiedziała mu to rano, nazajutrz po pańskiej wizycie. Wieczorem dziadek umarł. We śnie. I proszę nie myśleć, że robię z tego zarzut. Wręcz przeciwnie. Dla dziadka ta informacja była jak wybawienie. Serce mu pękało codziennie przez te kilkadziesiąt lat, bo nie wiedział co się z tą Karolina stało. A wie pan, lepsza najgorsza prawda, niż niepewność.

Bernaciak oparł się na krześle, odłożył długopis i papiery które trzymał do dłuższej chwili w ręku. Milczał. Beata Grójecka przerwała tę ciszę pytając:

- I tak w ogóle, to miałam spytać, dlaczego pan się w to tak zaangażował?

Sebastian Cieślukowski

* * *

Dym papierosowy wymieszał się z dymem z kuchenki, o wiele gęstszym i ciemniejszym, który zaczął kłębić się pod sufitem. Chudy chłopak westchnął cicho, gasząc papierosa na poplamionym blacie. Ostrożnie otworzył drzwiczki piekarnika i kolejna porcja duszącego dymu wdarła się do jego płuc. Odkaszlnął, wyjmując jednocześnie resztki spalonego kurczaka. Na widok czarnego, zwęglonego mięsa zrobiło mu się niedobrze. Wbrew sobie zastanowił się, czy może ciało jego matki też tak wyglądało, gdy skremowano ją po śmierci. Resztkami sił odrzucił tę myśl i otworzył szeroko drzwi na balkon, nie mogąc znieść widoku i zapachu tego, co miało być jego kolacją.

Smród spalonego mięsa był nie do wytrzymania. Dusił go niemal tak bardzo jak nowe obowiązki i stara miłość. Chłopak wraz z dymem wydostał się więc na wąski balkonik i rozpoczął poszukiwania ostatniego, pogniecionego papierosa, który ukrywał się gdzieś na dnie kieszeni spodni. Po odnalezieniu go, zapalił szybko i zaciągnął się z rozkoszą.

Stare osiedle, na którym mieszkał od dziecka, nawet w ciemnościach nocy nie było w stanie ukryć swojej brzydoty - spalona słońcem trawa, porozrzucone śmieci i zardzewiała huśtawka były nieodłączną częścią tego widoku. Gdy był młodszy, wszystkie te rzeczy mu przeszkadzały. Pamiętał, że jako mały chłopiec często błagał Boga o to, aby go stąd zabrał. Z dala od cuchnących moczem blokowisk, od podejrzanych mężczyzn pijących co wieczór gorzałkę na osiedlowym placu zabaw i wszechogarniającego poczucia, że to miejsce jest skażone. Teraz jednak, gdy wyrósł z okresu dzieciństwa, wiedział, że nie może stąd uciec. Że to obrzydliwe miejsce nie różni się zasadniczo od innych miejsc, nawet tych bardziej zadbanych. Okazało się, że poczucie skażenia nie jest cechą wyłącznie tego osiedla. Wszędzie była ta sama wulgarność, ten sam typ ludzi. Gdzie indziej było to wyłącznie lepiej ukryte, schowane pod warstwami drogich ubrań, kosztownych samochodów czy sztucznej dobroci. To była jedyna różnica.

Kiedyś to wszystko bardzo go bolało. Nie mógł znieść myśli, że nie ma dokąd uciec. Teraz tylko opierał się o balustradę ciasnego balkonu i obojętnie wypalał papierosa, obserwując jednocześnie wychudzone koty walczące o resztki jedzenia.

- Co tak śmierdzi?

Chłopak po raz kolejny westchnął cicho i powoli obrócił się w stronę mieszkania. W drzwiach stała młoda dziewczyna, trzymając się pod boki i marszcząc gniewnie nos.

- Jakub, pytam się – wymruczała groźnie, wbijając jasne oczy w chłopaka.
- Jeśli znowu nie będziemy mieli kolacji, to przysięgam, że wylatujesz z mieszkania. Nie po to kupuję to pieprzone żarcie, żebyś potem ciągle je przypalał, rozgotowywał, niszczył...

Kiedyś wydawała mu się naprawdę Piękna. Przez duże P. Była od niego o rok starsza, a jej brązowe włosy był najbardziej miękkimi loczkami, jakie kiedykolwiek miał okazję dotknąć. Za dawnych czasów wystarczyło, że Zuzia się uśmiechnęła, a on przestawał myśleć o wszystkim, liczyły się tylko jej dołeczki w policzkach, jej radosne oczy, jej delikatne dłonie przeczesujące jego ciemne włosy.

Teraz prawie się nie dotykali. Nie był pewien, czy to kwestia tego, że coraz częściej się kłócili, czy tego, że może ona też już nie widziała w nim niczego więcej niż dawną miłość, którą ciężko skończyć, bo mieszkali razem, a żadne nie miało w zasadzie dokąd iść. Może on – tak jak ona jemu – wydawał się tylko masą złożoną z mięsa, wypełnioną porannym piwem, popołudniową szklanką whisky, wieczorną flaszką i codzienną paczką papierosów.

- Mogę wskoczyć po jakiś fast food. - Jakub wzruszył ramionami.
- Jeśli dasz pieniądze. - dodał po chwili milczenia.

Dłonie Zuzi zacisnęły się w pięści. Jakub jednak już od dawna nie bał się pięści, zwłaszcza takich jak te, należące do tak drobnej istoty. Zaśmiał się cicho i wszedł do mieszkania, wyciągając dwa niedomyte talerze z szafki.

- Jak sobie chcesz, mała. Możemy jeść tego cholernego kurczaka.

Zuzia podeszła do niego i zanim zorientował się, co się dzieje, poczuł jak dziewczyna wymierza cios w jego policzek.

Zaskoczony przyłożył rękę do twarzy. Wprawdzie miejsce, w które został uderzony niemal go nie bolało, a przynajmniej nie tak, jak tysiące ciosów z jego dzieciństwa. Ale Zuzia, jego była-obecna miłość zazwyczaj raniła go tylko słowami. A właściwie próbowała ranić – chłopaka już od dawna nie obchodziły jej łzy, złorzeczenia i okrucieństwo, którymi próbowała go zniszczyć.

- Już i tak jestem zniszczony, skarbie – uśmiechnął się teraz do dziewczyny – Możesz uderzyć jeszcze raz, tylko tym razem trochę się postaraj, okej?

- Nienawidzę cię! - wyszczała, patrząc mu prosto w oczy. – Niszczysz mi życie. Co się z tobą stało? Kiedyś chciałeś stąd odejść, kiedyś byłeś inny...

- ... Kiedyś cię kochałem, kiedyś, kiedyś, kiedyś!

Dziewczyna kucnęła na podłodze, obejmując rękoma głowę. Wydała dźwięk, jakby się dusiła i Jakubowi wkradła się mała nadzieja, że może naprawdę się dusi, może resztki dymu po spalonej kolacji wdarły się jej do płuc i zabijały ją właśnie od środka, może uda mu się jej pozbyć i będzie mógł przestać słuchać jej ciągłych narzekań, jak to było dawniej, gdy miał jeszcze jakieś resztki nadziei co do tego świata.

Ale dziewczyna zamiast umierać, ofiarując mu wolność, tylko szlochała. Łzy kapały jej obficie po szcuplej twarzy, a Jakub stał w milczeniu, obserwując dawną miłość. Prawie było mu jej szkoda. Była za ładna, żeby się tak smucić. Kiedyś myślał, że naprawdę piękni ludzie się nie smucą. Że są wiecznie szczęśliwi – radosna Zuzia była niegdyś dowodem na tę jego tezę. Może dlatego tak jej wtedy pragnął. Chyba pociągała go wizja szczęśliwości, wizja, w której Zuzia przy pomocy swojej cudownej buzi i wesołych rozmów wyrzuca z niego całe okrucieństwo, wybawia go z siideł przeszłości i pomaga znaleźć miejsce, w którym oboje będą żyć normalnie. Ale Jakub wiedział już przecież, że to niemożliwe. Wszędzie to samo, wszędzie brud, wszędzie nienawiść, a nawet najpiękniejszy i najszczęśliwszy człowiek stałby się nieszczęśliwy widząc to, co on widział.

- Kiedyś mnie kochałeś. Tak twierdzisz? - po dłuższej chwili odezwała się zachrypniętym głosem Zuzia, wycierając rękawem zasmarkany nos. - A ja mam wrażenie, że nienawidzisz mnie od zawsze. Chyba jednak nigdy nie byłeś inny. Rujnujesz mi życie. Wiesz, że i tak jest ciężkie, prawda? A ty jeszcze bardziej mi je marnujesz! Nie mówiąc już o pieniądzach. Kiedy ostatni raz dołożyłeś się do kupna czegokolwiek? Nawet ci się nie chce ruszyć do pracy. Za wszystko płacę, a ty to wszystko niszczysz.

Dziewczyna uspokoiła się już trochę i na jej twarz powróciła wściekłość oraz obrzydzenie.

- Przecież pracowałem, pamiętasz? Chodziłem tam, dawałem ci wtedy wszystko... - zachnął się Jakub.

- Jedyne co od ciebie dostałam, to nerwicę. Nienawidzę cię.

Jakub pokręcił głową.

- Musiałem przestać tam pracować, dobrze wiesz. Widziałas, co ta praca ze mną robiła...

- Och, daj spokój – prychnęła Zuzia, podnosząc się wolno z podłogi – Jesteś po prostu leniem, gapisz się wiecznie przez okno, wypalasz tylko kolejne papierosy i na tym polega twoje życie, cała twoja pieprzona egzystencja – fajki, siedzenie na tyłku i kłótnie.

Chłopak milczał. Zuzia przecież wiedziała, że musiał odejść z pracy. Powiedział jej, że nie daje rady. To go przerażało. Tam ludzie emanowali takim złem, że sam Szatan nie chciałby się zapewne wśród nich znaleźć. Dlatego Jakub musiał stamtąd odejść. Niszczyli go.

- A teraz wynoś się. - powiedziała groźnie dziewczyna.

Patrzyli się sobie w oczy przez długą chwilę. Jakub nie był pewien, czemu tym razem aż tak się pokłócili. Chyba, że naprawdę doszli do takiego poziomu wzajemnej nienawiści, że przez sam swój widok mieli ochotę się nawzajem powyrzynać. A podobno kiedyś kochali się tak bardzo, że byli gotowi powyrzynać cały świat, by ocalić siebie nawzajem.

- Wynoś się z mojego mieszkania! - powtórzyła Zuzia.

- To nasze mieszkanie – poprawił ją Jakub.

Ale wyszedł. Mrok nocy był lepszą alternatywą od mroku Zuzi. Wychodząc chwycił tylko skórzaną kurtkę i paczkę papierosów należących do dziewczyny i zbiegł po schodach, słysząc za sobą trzaśnięcie drzwiami.

Na dole, przy wejściu na klatkę schodową, pałętał się jakiś bezdomny kundel, obsikując więdnący krzak. Jakub nie wiedział dokąd ma iść. Nie tylko teraz, ale przez całe życie. Gdyby miał być ze sobą szczerzy, kłótnia z Zuzią nie zrobiła na nim większego wrażenia, bo od dłuższego czasu sprzeczki były nieodłączną częścią każdego dnia.

Wyjął z kradzionej paczki papierosa i zapalił go, zerkając na balkon znajdujący się na czwartym piętrze. Wśród czerni nocy, w plamce jasnego światła z pokoju, stała Zuzia. Nawet z tej odległości chłopak widział, że dziewczyna płacze i obserwował ją chwilę, zastanawiając się, czy zaraz nie zobaczy jej małej postaci wychylającej się niebezpiecznie przez balustradę, by zasmakować raję, którego on nie mógł jej podarować.

- Skacz. Wiesz, że wolę flirtować ze Śmiercią, niż z tobą, skarbie - szepnął, zaciągając się dymem.

Kundel przestał zajmować się krzakiem i podszedł do chłopaka. Ostrożnie go obwąchał i odszedł w ciemność.

- Jak każdy, kto mnie poznał – zaśmiał się Jakub i podążył za zwierzęciem.
– Wracaj tu, przyjacielu.

Szedł za psem po opustoszałym osiedlu, przypatrując się leniwie odpadającemu zewsząd tynkowi i walczącym kotom. Podobnie jak one nie miał dokąd wrócić. Na pewno nie z powrotem do Zuzi. Nie na tę noc, nawet jeśli była wyjątkowo zimna. Wolał chłód powietrza niż chłód uderzający go od dawnej miłości.

Mijając kolejne miejsca, wspominał, jak kiedyś biegał wokół nich, zamiast chodzić do szkoły. Park, w którym po dziewiętnastej nie wolno było się pokazywać, jeśli chciało się zachować portfel i - w skrajnym przypadku - życie. Ulica B., gdzie kiedyś, jeszcze będąc właściwie dzieckiem, pobił jakiegoś niewinnego rówieśnika, wyobrażając sobie z rozkoszą, że ów chłopiec to jego ojciec, jego własny tata, który tamtego ranka uderzył go tak mocno, że Jakub zwymiotował z bólu. Opuszczony budynek przy osiedlu K., gdzie pewnej ciepłej, letniej nocy dzięki Zuzi zaczął wierzyć w ludzką dobroć i miłość. I stara ławka kilkanaście metrów dalej, gdzie jakiś rok później – dzięki ojcu i jego przyjaciołom, chcącym pokazać mu, gdzie jego miejsce - przestał wierzyć w cokolwiek poza piekłem, jakim okazał się dla niego ten świat.

Jakub długo włączył się za psem, przypatrując się kolejnym miejscom w jego rodzinnym mieście. W końcu bezpański kundel zatrzymał się tuż przed dworcem autobusowym, gdzie kiedyś chłopak czekał niemal codziennie, aby móc dojechać na uczelnię. To czekanie było tak okropne, że gdy w końcu Jakub został wyrzucony z uniwersytetu, niemal się ucieszył. Właściwie już wówczas nie

sprawiało mu to różnicy, czy męczy się w budynku szkoły, czy we własnych czterech kątach. Wszędzie był ostatecznie tak samo nieszcześliwy.

Pies zaczął obwąchiwać słupek. Jakub stanął nieco dalej, w cieniu, wciągając zimne powietrze. Ten sam zapach mokrego po deszczu betonu, jak wtedy, gdy miał dwanaście lat i wsiadł do byle jakiego autobusu, aby sprawdzić, czy poza obrębem miasta też będzie czuł ten strach, wypełniający każdą komórkę w jego ciele, prowokującym go do ciągłej ucieczki. Miał wtedy nadzieję, że przestanie myśleć w kółko o tym, jak przeraża go jego życie. Jak ma wymyślić sposób na wydostanie się z wspomnień, gdzie otrzymywał setki ciosów od każdego, kto był ważny w jego życiu.

Potrząsnął głową.

- Nie myśl o tym, nie myśl o tym, przestań, cicho. - mruzczał do siebie, zaciskając powieki.

Otworzył je.

Na obdrapanej ławce, kilkanaście metrów dalej siedział chłopczyk, na oko dziesięcioletni. Sam, bez rodziców, ubrany w widocznie za ciasne ubranie i czytający książkę w za słabym świetle lampy stojącej blisko przystanku. Najwyraźniej był tak zaczytany, że nie zauważył Jakuba. Chłopak zawahał się – nie przepadał za dziećmi i najchętniej odszedłby dalej, aby włączyć się po miasteczku, ale dziecko było tutaj całkiem samo a niedługo dochodziła północ. O tym mieście można było powiedzieć wszystko, ale na pewno nie było bezpieczne, zwłaszcza dla blakających się samotnie chłopczyków.

Zanim Jakub zdążył się zastanowić, co robić, kundel podbiegł do dziecka i polizał go po czerwonych od zimna dłoniach.

- Ares! - pisnął chłopczyk, śmiejąc się wesoło. - Już myślałem, że nie przyjdiesz.

Pies obrócił się w stronę Jakuba i przekrzywił łeb. Wzrok chłopca przeniósł się z kundla na stojącego w mroku młodego chłopaka. Dziecko aż pisnęło ze strachu.

Ucieczka była już niemożliwa.

- Jestem Jakub – wybąkał chłopak. – I przyszedłem tu za psem, bo nie wiem co robić ze swoim życiem.

- Jestem Adam – odrzekł chłopczyk – I przyszedłem tu, bo od niedawna wiem co robić ze swoim życiem.

Jakub uśmiechnął się lekko i wskazał na ławkę, na której siedział mały.

- Mogę dołączyć?

Chłopiec kiwnął zapraszająco głową.

- Długo szedłeś za Aresem? Przychodzi tu co wieczór – Adam wskazał na kundla, który teraz przycupnął przy ławce – Jest świetny. Chciałbym móc go zabrać do siebie.

- Siedzisz tu co wieczór? Przecież to niebezpieczne. O tej porze lepiej nie wychodzić z domu.

- To co tu robisz? - odgryźł się Adam.

Jakub uśmiechnął się po raz kolejny.

- Co czytasz?

Chłopiec pokazał mu cienką książkę, podniszczoną prawie tak samo jak ubranie, które na nim leżało.

- Mitologia grecka. Kiedy mam zły humor, sięgam po nią i od razu mi lepiej. Zwłaszcza, gdy odwiedza mnie Ares. Dostał zresztą imię po jednym z bohaterów. To był bóg wojny, silny i mądry. Zawsze chciałem być taki jak on. Zwycięzać.

Jakub milczał. Przesunął wzrok z książki i wpatrywał się w siny ślad w dolnej części szyi chłopca, tuż nad kołnierzem podniszczonej kurtki, który ukazał się, gdy chłopiec zmienił pozycję. Widział już setki razy takie ślady. Zawsze jednak na własnym ciele.

- Kto ci to zrobił?

Adam speszył się i szybko zasłonił siniaka. Wbił wzrok w książkę i długi czas oboje siedzieli w milczeniu. Było to milczenie niezwykle znajome – Jakub spędził na nim większość swojego życia, a jedyne co wtedy oprócz ciszy słyszał, to przerażony szept matki: Nie mów nikomu, nie mów nikomu, bo oboje zginiemy. To milczenie weszło mu do krwi, posłuchał więc tych próśb i nigdy nie wspomniał nikomu o tym, dlaczego jest taki obolały na wuefie, ani dlaczego wraca po lekcjach okrężną drogą do domu.

- Mi też kazali nie mówić. Bo inaczej to ja zginę. Ale to oni zginęli, wiesz?
Chłopczyk pobałdł lekko, ale się nie odezwał.

Jakubowi zaczęły drżeć ręce. We krwi miał zapisane to uczucie, które oblepiało go wilgotnymi dłońmi całe życie, zaciskało ręce na gardle i kazało mu być grzecznym – albo przeciwnie, niegrzecznym, łamiącym wszelkie zasady, aby wyrwać się z codzienności i tortur, których był ofiarą.

Przymknął oczy i spojrzał w inną parę – w wielkie źrenice strachu. Zawsze przy nim były, obserwowały każdy jego ruch, starały się go zniszczyć, nie pozwalały myśleć...

Poczuł na dłoni lekkie muśnięcie.

- Spokojnie, Jakub – szepnął błądy Adam – Nie jesteś sam.

Jakub trząsał się cały.

- To właśnie jest największe zło. Nigdy nie będę sam!

Chłopiec spojrzał smutno na chłopaka i pokiwał głową. Zawahał się, po czym odsunął rękaw kurtki i pokazał wewnętrzną stronę przedramienia. Znajdowały się tam dość świeże ślady po papierosie.

Jakubowi zrobiło się niedobrze. Ciężko dysząc, zdjął kurtkę. Zimny wiatr uderzał w jego nagie ramiona, gdy pokazywał własne blizny chłopcu – kilkanaście przypaleń, którymi obdarzył go ojciec. Jakub nienawidził papierosów, a jednocześnie kochał je – z jednej strony przypominały mu o jego zniszczonym ciele, z drugiej, paląc je, czuł, że ma nad wszystkim kontrolę. To od niego teraz zależało, czy niedopałek spocznie w popielniczce czy na czyjejś delikatnej skórze.

- Och, biedny! - mruknął Jakub, nie wiedząc, czy mówi do chłopaka dzielącego jego los, czy do swojej własnej dziecięcej wersji.

Oczy Adama zabłysły od łez, które powstrzymywał od rozlania się po małej twarzy. Wstał z ławki i pokazał swoją książkę.

- Wiesz – zaczęła, drząc lekko na ciele – Powiedziałem ci, że od niedawna wiem, co robić. Dzięki tej książce. Postanowiłem, że będę zwyciężać jak Ares. Codziennie po trochu.

Jakub przeczesał nerwowo ciemne włosy, wpatrując się w Adama.

- Pewnie brzmi to głupio – cicho rzekł Adam – Ale te zwyczajstwa są bardzo ważne. Na przykład, gdy uderzył mnie dziadek... albo ktokolwiek,

to myślałem sobie kiedyś, że go nienawidzę. Dziś myślę, że rzeczywiście nienawidzę go za to co mi robi – głos lekko mu się załamał. – Ale Kocham moją siostrę, dla której chcę być silny. I dzięki temu przestaję myśleć o tym, że świat jest pełen nienawiści, bo widzę twarz Ewy, która jest jeszcze taka niewinna i miła. I chcę ją ochronić – Adam mówił coraz szybciej – pokazać jej, że świat jest dobry, że ludzie są dobrzy i no, że można kochać...

- Czasem to nie działa. Nie da się tak po prostu przestać myśleć o tym, jak...

- Tak – pokiwał głową chłopiec. – Ale nie zawsze to nie działa. Czasem naprawdę pomaga. To chyba moja tajemnica przetrwania. Trzeba kogoś kochać.

Jakub przełknął ślinę. Przez głowę przebiły mu się twarze, które niegdyś kochał, ale które dziś kojarzyły mu się tylko z nienawiścią – matka, ojciec, Zuzia, jego kolega z liceum...

- Nie mam kogo kochać - szepnął Jakub.

Adam otworzył usta, zmieszany. Spojrzał niepewnie na starszego chłopaka i wcisnął mu do ręki książkę, po czym odsunął się trochę i szepnął:

- Kiedyś kogoś znajdziesz. A gdy to się stanie, pamiętaj, że musisz dla tej osoby zwyciężyć.

Jakub przysiadł na ławce i wyjął z kieszeni papierosa. Zapalił go i obserwował dym, ulatujący w nocne niebo. W szarych kłębach dostrzegł jeszcze jedną twarz osoby, którą kiedyś kochał. Był to on sam. Jego krzywy nos i czarne, proste włosy. Jego wiecznie puste oczy. Mrugnął i twarz zniknęła, ale poczuł w klatce piersiowej rozlewające się ciepło.

- Chyba jednak mam kogoś, dla kogo chcę być zwycięzcą, Adam.

Przesunął wolną dłoń w miejsce, gdzie miał serce. Pod nagrzanym od skóry materiałem koszulki poczuł szybkie uderzenia. Jedyne uderzenia, jakie lubię, pomyślał Jakub wypuszczając z ust dym papierosowy.

Paulina Melcer

Sens

Joaquin powłócząc nogami dotarł do drzwi. Wyciągnął rękę w kierunku klamki, gdy ujrzał że koniuszek palca wskazującego ma umazany w malinowej konfiturze. Uśmiechnął się ze zmęczeniem i oblizał go. Jak za każdym razem, ze smakiem powróciły do niego zapachy lata, zapamiętane z dzieciństwa. Na widok potężnych drzwi nałożył mu się obraz: wspomnienie zabaw na olbrzymich stogach siana z bratem i kolegami.

Wszedł do swojej niewielkiej komnaty i zasunął kotary. Księżyc był w pełni, a Joaquin nie potrafił zasypiać, gdy było zbyt jasno. Ściągnął z siebie spodnie, wyplątał się z bogato zdobionej koszuli i płaszcza z ornamentami wykonanymi złotą nicią, uwolnił od bielizny i tak jak stworzyła go natura wskoczył na miękkie łóże – jedyny mebel, który w całym dość surowo urządzonym pomieszczeniu wyglądał na wygodny.

Owinął się chłodną, białą niczym śnieg pościelą i wtulił rozgrzaną twarz w poduszkę. Uśmiechnął się ponownie, gdy przypomniał sobie jak w dzieciństwie spał na twardym łóżu w sianie, które niemiłosiernie kłuło go w brzuch. Tak, za tym aspektem dawnego życia zdecydowanie nie tęsknił.

Gdy już nacieszył się samym faktem, że wreszcie po bardzo długim, wyczerpującym dniu może się położyć i wyprostować, obrócił się na plecy. Zamknął oczy próbując zwizualizować sobie niebo pełne gwiazd. Rzeczą, którą najbardziej w sobie cenił była właśnie tak doskonała pamięć: nie tylko faktów, ale i emocji, odczuć.

Odpływał już do Innych Miejsc, kołysząc się na falach nocy, gdy usłyszał cichy szmer. Po chwili coś stuknęło. Pomyślał, że zapewne któraś z dziewczek wymknęła się z bankietu razem z poważanym posłem, by trochę poswawolić sobie w ukryciu i nie mogąc się już doczekać postanowiła przejść od słów do czynów już w drodze, niestety hałasując.

Był już na krawędzi, na tej cienkiej granicy między półsnem a snem, gdy nagle znów pojawiły się hałasy. Tym razem nawet nie poczuł ani odrobiny irytacji – wszak każdemu należy dać prawo do odrobiny przyjemności.

Wtem niespodziewanie drzwi jego komnaty otworzyły się. Wpadły do niej trzy wysokie postacie, sądząc po cieniach, w solidnym uzbrojeniu. Nim zdążył rzec choćby słowo, dwie z nich podbiegły do niego, chwyciły łapskami w grubych rękawicach za przeguby i odciągnęły jego ręce na bok. Tym czasem trzeci intruz wyciągnął z kieszeni przy pasie niewielki przedmiot.

Joaquin próbował krzyczeć, lecz kolejna ciężka łapa spadła na jego usta, zatrzymując brutalnie jego słowa. Szarpał się bezskutecznie. Błysnęło ostrze, trysnęła krew. Opór zelżał, oczy wywróciły się białkami do góry. Oprawcy szybkimi ruchami zrzucili ciało z łóżka, owinęli materiałem po czym rozsunawszy zasłonę wyrzucili na zewnątrz. Ciężar głucho uderzył o ziemię. Czwarty człowiek zaciągnął truchło dalej.

W zamku nikt nie wiedział co stało się w pokoju Joaquina – zabawa trwała w najlepsze.

* * *

Obudził się leżąc na czymś chropowatym i chłodnym, mimo że jego ciało otulało ciepłe powietrze. Pod zamknięte powieki wciskało się nachalnie światło – słońce musiało być już bardzo wysoko na niebie. Otworzył oczy i to co dostrzegł niezwykle go zaskoczyło.

Znajdował się na rozległej polanie. Ze wszystkich stron otaczały go łagodne pagórki pokryte zieloną narzutą traw, niewielkich krzewów i pojedynczych rozłożystych, dających przyjemny cień drzew. Jedyne tuż przed nim widok był zupełnie inny. Piętrzyła się tam niewyobrażalnie wysoka góra – wyższa niż wszystkie które kiedykolwiek widział, a przecież urodził się na południu kraju, gdzie najwyższe pasma były tak niebosiężne że ich wierzchołki były jedynie nagimi skałami. Tu szczytu nie sposób było dostrzec, a cała góra była jednolicie szmaragdowa. Po jednym jej zboczu, po prawej ręce Joaquina biegła ścieżka, zapewne prowadząca wyżej. Słońce istotnie świeciło mocno, choć co chwila chowało się za chmurami, wielkimi kłębamii przypominającymi mityczne bestie które rzekomo na swoich grzbietach miały trzymać całą planetę.

Chłopak powiódł rękami po swoim ciele i z zawstydzeniem odkrył że jest całkowicie nagi. Poczuł gorąco na policzkach i rozejrzał się, by sprawdzić czy nikogo nie ma w pobliżu. Podniósł się, przysiadł na szorstkiej trawie otaczając kolana ramionami i próbował sobie uświadomić co się stało.

Wydarzenia minionej nocy spadły na niego jak kamienie toczące się ze wzgórz, nabierające prędkości z każdą chwilą. Potarł rękami o szyję. Ku swojemu zdumieniu nie znalazł krwi, nie doznał bólu – wyczuł jedynie wąską, podłużną linię wgłębienia, obwodzącą gardło. Ze zdumienia nie mogąc złapać oddechu, rozglądając się z przestachem po otaczającej go krainie, wstał i nie zważając na nagość, ruszył przed siebie.

- Chciałbyś wiedzieć co się tu dzieje, prawda? Mam udzielić ci odpowiedzi na parę pytań, choć na niektóre z pewnością nie jestem w stanie. I chyba nikt obarczony ludzką głupotą, sposobem myślenia zabranym stamtąd, nie jest w stanie. Ale wiem dobrze, co przytrafiło się tobie.

Joaquin rozejrzył się wkoło z przestachem, który wcale nie wziął się z powodu tego, że nie miał nic na sobie. Strumień pytań, który zaczął płynąć najpierw spokojnie, a potem tryskać w jego umyśle na chwilę został zatknięty przez paniczny lęk.

- Kaique, ksiązący mistrz łowiecki właśnie wiezie twoje zwłoki do lasu. Wcześniej związał je, zapakował do wielkiego płóciennego worka. Zamierza zakopać je w samym środku puszczy. Wedle ustalonej wersji wydarzeń uciekłeś gdzieś, wraz z poznaną na bankiecie dziewczką.

Joaquin nie mógł przemówić, ale w jego duszy rozlegał się krzyk „dlaczego?”, nie zastanawiał się już skąd bezcielesny głos może tak wiele wiedzieć, jedynie to pytanie pulsowało i zdawało się że za chwilę rozerwie jego żyły. Musiał usłyszeć więcej. Poczul dotyk dłoni na ramieniu. Był ciepły i kojący, choć zdawało się że w tej sytuacji nic nie może wpłynąć na młodzieńca uspokajająco.

- Weź odzienie, leży za tą skałą. Przede wszystkim oczyść myśli. Niczego już nie zmienisz.

Zgodnie z poleceniem głosu, który stał się osobą, udał się roztrzęsiony za skałę, której wcześniej nawet nie dostrzegł. Budujące było poczucie, że ktoś próbuje mu pomóc, choć nie miał żadnych przesłanek by wierzyć w czystość intencji tej tajemniczej postaci. Za wielkim głazem odnalazł kombinezon, jakiego jeszcze nigdy nie widział, w kolorze zgniłej zieleni. Była to jakby koszula połączona ze spodniami, z tym że nie zawiązywało się jej pod szyją. Wyszedł do tajemniczej postaci starając się zakryć klatkę piersiową i utrzymać dolną część na miejscu.

Wreszcie ją zobaczył i poczuł w sercu chłodną igielkę rozczarowania. Przemawiał do niego niewysoki, szczupły, zasuszony człowieczek. W dłoni ścisnął laseczkę z migdałowca, był skulony i jakby drżał. Joaquin nie widział dokładnie jego twarzy, dopiero gdy podszedł bliżej, uświadomił sobie dlaczego – choć było to niewiarygodne jego twarz zmieniała się co kilka chwil, nos odrobinę się wydłużał, kości policzkowe pęczniały, by po chwili znów przejść metamorfozę. Sylwetka pozostawała jednak niezmienna.

Młodzieniec podszedł do niego, drżąc. Było to zapewne wywołane olbrzymim strachem, niepewnością jaką odczuwał w tak okropnych okolicznościach, ale nie mógł wyzbyć się myśli że coś osobliwego jest w tym starcu. Coś co przyciąga go doń, zapewniając, że znajdzie u niego nie tylko odpowiedzi na pączkujące w nim pytania, ale także, że udzieli mu się część jego spokoju. Bardzo go teraz potrzebował.

- Daj - głos mężczyzny przypominał cichy trzask ognia w kominku. Staruszek chwycił za poły koszuli i kilkoma prostymi ruchami wsunął małeńkie perełki w niewielkie otwory, których Joaquin wcześniej nie zauważył. Odzienie leżało teraz wyśmienicie, a on sam dostrzegł w tym geście pewną ojcowską troskę. Było to pokrzepiające, lecz wątpliwości nie zniknęły.

- Co... co się ze mną stało? Proszę, powiedz mi gdzie jestem i zdradź kim jesteś ty.

Starzec podrapał się po nosie, który był teraz długi i lekko zadarty, koniuszkiem laseczki. Po chwili bez słowa ruszył przed siebie. Chłopak uznał to za zachętę do krótkiej, wspólnej wędrówki.

- Rana na twojej szyi... och tak, wyjątkowo paskudna robota. Pozbyto się ciebie w okrutny sposób. Umarłeś oczywiście, ale już na ziemi wszystkim nam wpajano, że przecież naszych losów nie ucina śmierć. 'Istnieje dalej'. I ty właśnie poszedłeś dalej.

- Ale... - Joaquin zdusił w sobie chęć, by zapłakać. – ale dlaczego? Dlaczego ja?

- Nie wiem – oparł laseczkę na barku i wzruszył ramionami. – Z tego co widziałem nie byłeś złym człowiekiem, może pogubionym, ale nie niegodziwym. Zatem, zapewne po prostu pojawiłeś się w nieodpowiednim

miejscu, w nienajlepszej porze. Ale powtarzam: nie możesz już tego zmienić. Poszedłeś dalej.

Przeszli kilka kroków w milczeniu. Joaquin starał trzymać się dzielnie, tak jak przez całe życie unikał łez, gdy padały pod jego adresem bardzo nieprzychylnie słowa na książęcym dworze. Kiedy jednak znów dotknął swojej szyi i poczuł podłużne wgłębienie, które zdawało się promieniować, uwypuklać, nie wytrzymał i uronił kilka łez. Po chwili czuł ciepłą strużkę na policzkach. Z zawstydzeniem zamknął oczy i obrócił głowę.

Podążali w stronę ścieżki, którą chłopak wypatrzył na początku. Gdy zbliżyli się do niej na odległość kilkunastu stóp, Joaquin dopiero dojrzał, że to nie zwykły trakt, a wielkie, kamienne schody. Stopnie miały wysokość człowieka, były gdzieś tam pokryte niby-dywanikiem z białych stokrotek, żółtych mniszek i jaskrów. Wyglądały na bardzo stare – kruszyły się – i wiodły aż na sam szczyt. Taka wędrówka z pewnością musi zajmować całą wieczność, pomyślał ze zdumieniem, podziwiając konstrukcję, która zdecydowanie nie wyglądała na dzieło ludzkich rąk.

- Jestem teraz wędrowcem, tak jak ty – powiedział nagle starzec, a jego cichy niczym powiew wiatru głos, zabrzmiał z zupełnie innej strony, niż spodziewał się tego Joaquin – Nie uważaj mnie za istotę wyższą, tylko dlatego że wiem troszeczkę więcej. Po prostu jestem tu znacznie dłużej. Z tego też względu, nie musisz ukrywać przede mną łez. Wiem co czujesz. Nie miałeś czasu by przygotować się na śmierć. Nie wychowałeś dzieci, nie zauważyłeś zmarszczek pojawiających się na twoim czole, nie zacząłeś cierpieć z powodu bólów kości i mięśni. To miejsce, to właśnie wspomiane często na ziemi ‘dalej’. Stoisz właśnie na początku ścieżki, która prowadzi do raju.

Myśli Joaquina pobiegły innym torem. Zaczął przypominać sobie więcej faktów ze swojego życia – na początku pamiętał jedynie upiorną, ostatnią noc, która przesłoniła cały obraz rzeczywistości. Domenico. Musiał już tu być, więc jeżeli dotrę do niego, on mnie wesprze, nie odmówi pomocy, przekonywał się w duchu.

- Twój brat tu był – rzekł starzec, uprzedzając pytanie, zupełnie jakby czytał mu w myślach. – Przechodził tą samą drogą co ty, jakiś czas temu. Nie wiem dokładnie kiedy. Tutaj wszystko zależy od punktu widzenia. Ale pamiętam go

bardzo dobrze. Rzeński, pełen pogody, mimo że też został wydarty z ziemskiego życia nagle. Przez cały czas wypytywał tylko o jedno. ‘Czy z moimi przyjaciółmi wszystko będzie dobrze? Czy udało mi się choć trochę im pomóc?’

Joaquin nie miał pojęcia o jakich przyjaciółach opowiadał staremu mężczyźnie jego brat. Nie rozmawiali ze sobą zbyt często, a nawet jeżeli czasami gawędzili kurtuazyjnie, szybko przechodziło to w ostrą wymianę zdań. Różnili się znacząco sposobem patrzenia na świat – Domenico pragnął działać, cały wypełniony był nieskończonymi pokładami silnej woli, niezłomności, której młodszy brat nie posiadał i nie rozumiał. On cenił za to życie w dobrobyciu i bogactwie i wmawiał sobie przy tym, że to wystarcza.

- Gdzie on teraz jest? Chciałbym się z nim spotkać. Odszedł ledwie trzy miesiące temu. Te schody są tak wielkie, że na pewno jeszcze gdzieś na nich jest. Czy nie możesz w jakiś sposób przekazać mu, że tu jestem?

- Wielkie? – starzec spojrział w górę – Zależy od punktu widzenia. Mnie teraz wydają się całkiem zwyczajne. Wiem jednak, że twój brat już po nich nie stąpa. Jest w raj. Dotarł tam bardzo szybko.

- Czy zatem ja też mogę już tam iść? Jak mam to zrobić, skoro po tych stopniach raczej nie da się wejść? Musiałbym się wspinać przez setki lat. Są bardzo wysokie.

- Skoro ta droga jest dla ciebie zbyt trudna, to znak, że odpowiedni czas jeszcze nie nadszedł. Nawet jeśli spędzisz setki lat – możesz, masz przecież całą wieczność – na wczolgiwaniu się na górę, nie masz pewności, że bramy będą dla ciebie otwarte. Dla twojego brata były, owszem. Mam też wrażenie, że jemu wbiegnięcie po schodach nie sprawiło wielu trudności. Z tym, że wasze przypadki różnią się od siebie znacznie. Poza tym, nie sądziłem że będziesz chciał go zobaczyć. Kiedy ostatnio mijałeś go w mieście, tuż przed jego śmiercią, nawet nie zaszczyciłeś go spojrzeniem.

To była prawda, jakkolwiek chłopak próbowałby ją wyprzeć ze swojej pamięci. Domenico przechodził wówczas ze swoją grupką odmieńców, na których ludzie bali się patrzeć, a co dopiero przypadkiem ich dotknąć. Joaquin przejeżdżał książęcą karocą, razem z księciem Edwardem, który nad wyraz ceniał jego towarzystwo. Spojrzenia braci spotkały się na krótką chwilę – starszy skinął głową, lecz nie otrzymał odpowiedzi.

- No tak, wiem... - młodzieniec znów miał ochotę odwrócić głowę, jego policzki pokrył rumieniec, a uszy zaczęły go parzyć. – Ale... proszę, nie zrozum mnie źle, ja... wstydzilem się go.

Starzec, teraz o orlim nosie, który nadawał jego twarzy srogi wyraz, przysiadł na miękkiej trawie. Wyciągnął przed siebie nogi chude jak wyschłe patyki, a dłonie zanurzył w intensywnie zielonej fali. Spoglądał w dal pytająco.

- Boże, to okropne, ale... miałem ochotę odwrócić od niego wzrok, coś było w nim tak... odpychającego – poczuł, że musi powiedzieć coś na swoją obronę, więc dodał zupełnie szczerze – Naprawdę go kochałem. Nadal kocham, to mój brat, największy skarb, jedyny jaki został mi po śmierci rodziców. Mógł przecież skończyć swoje studia na akademii, podbijać cały świat, miał przecież jedno z najlepszych wyników wśród uczniów w jego wieku parających się medycyną. Ale kiedy zostaliśmy tylko my dwaj, nie wahał się. Pamiętam jak dziś, stałem wtedy zasmarkany w kącie – mimowolnie uśmiechnął się na to wspomnienie, lecz w jego oczach pozostał odcień smutku, spojrzenie było nieobecne, nurzało się w przeszłości. – On rozmawiał z przyjacielem rodziny, który był łącznikiem między nim a urzędnikami państwowymi. Rodzice nie byli przygotowani na taką okoliczność, pożar zabrał nam wszystko. Mieli pochmurne miny, obaj. Kiedy tamten wyszedł podbiegłem do niego natychmiast, zalewając się łzami, prosiłem go, błagałem, żeby mnie nie zostawiał. A on tylko... tylko się nachylił, objął mnie, przycisnął usta do czoła i wyszeptał ‘nie zostawię cię nigdy, Jo’. I ja, wiem, że to może bezmyślne, ale po tym już byłem zupełnie spokojny, wiedziałem że stanie się tak, jak powiedział. Był jak skała, nie do zachwiania.

- A jednak coś w twoich oczach zachwiało tą skałą, czy mam rację?

Joaquin starał się pozbierać myśli, które teraz kłębiły się w jego głowie, błyskawicznie i gwałtownie, niczym rój rozwścieczonych dzikich pszczoł.

- Nie, nie do końca... To znaczy, ciężko powiedzieć jak to było. Żyliśmy w trudnych warunkach, Dom nie ukończył nauki więc nie mógł współpracować z wykształconymi medykami. Parał się kowalstwem, czasami wykonywał drobne robótki u naszych sąsiadów. Miałem dzięki temu zyskać szansę na naukę, ale to nigdy mnie specjalnie nie zajmowało. Kiedyś

do miasta przyjechał cyrk. Kiedy zobaczyłem grupę mężczyzn połykających pochodnie, albo iluzjonistów którzy przemieniali króliki w przepiękne, rumiane dziewczyny, albo gdy oglądałem pokazy treserów dzikich bestii... czułem, że to chciałbym robić. Przekraczać granice, między tym co możliwe i tym co potencjalnie jest niemożliwe. A potem trafiłem na dwór, po jednym z naszych występów. Tam zamieszkałem. Brat oczywiście długo próbował nawrócić mnie z powrotem na odpowiednią ścieżkę, ale moja wrodzona przekora sprawiła że to nie przyniosło żadnego efektu.

- I co stało się dalej? – zapytał z ciekawością starzec, choć zapewne dokładnie znał cały obrót sprawy. Bawił się właśnie wyrwanym z ziemi kwiatkiem, muskając paznokciem jego lawendowe płatki.

- Zamieszkałem w zamku królewskim, jako członek książęcego dworu. Edward bardzo cenił moje towarzystwo, tak przynajmniej zawsze twierdził. Wie pan... wiesz co? – Joaquin uznał, że może już przejść w rozmowie z mężczyzną na 'ty'; ostatecznie temat jaki poruszali był bardzo osobisty, a to w jego mniemaniu oznaczało, że ich relacja wkroczyła już na inny poziom. Na chwilę przerwał, wyraźnie nad czymś się zastanawiając. – Chyba wiem dlaczego oni... - nerwowo machnął ręką w okolicach szyi, licząc że staruszek wypowie to słowo, którego za wszelką cenę jeszcze nie chciał wymawiać, jeszcze nie teraz. – Dlaczego mnie... zgładzili. Widziałem chyba coś, czego nie powinienem był zobaczyć. Byłem wtedy z Edwardem, on mnie... spędzaliśmy razem czas, narzekał wówczas często na nudę i samotność więc jak zawsze w takich sytuacjach pojawiałem się przy nim ja. Zostawiłem któregoś dnia szal w jego komnacie. Kiedy wróciłem, by go zabrać usłyszałem urywki zdań, niepokojące słowa... spojrzał na mnie dziwnie, ale nie wydało mi się to wtedy tak upiorne, jak widzę to teraz.

- Czy dobrze rozumiem, na czym polegało twoje życie na książęcym dworze? – starzec starał się wyciągnąć od Joaquina to, co ten starał się w swoich wyznaniach ominąć szerokim łukiem.

Chłopak jeszcze bardziej skurczył się w sobie, jego policzki stały się czerwone niczym dojrzałe, słodkie czereśnie. Rozejrzał się wilgotnymi oczami po wzgórzu, omiótł wzrokiem zbocza, zamrugał kilkukrotnie. Dostrzegł w oddali stojącego na lekko wysuniętej skałce baranka. Był niczym maleńki biały obłok,

który zapomniał gdzie jego miejsce. Wtedy po raz kolejny coś w nim pękło, przerwało z ogromną siłą tamę blokującą strumień słów, który w końcu musiał z niego wypłynąć.

- Spełniałem wszystkie jego zachcianki. Byłem, zależnie od nastroju księcia politycznym doradcą, powiernikiem sekretów, bardem, błaznem, mistrzem sztuk cyrkowych... Zazwyczaj nie czułem ciężaru tej służby. Tylko teraz, kiedy o tym myślę, wydaje mi się to tak... bezduszne. Byłem bezduszny wobec samego siebie, tłamsiłem w sobie moje pragnienia, żeby dobrze wypełnić obowiązki. Nic mi nie groziło, ale z tyłu głowy zawsze czaiła się myśl, że wszystko to stracę, gdy tylko on się mną znudzi. Nikt inny nie traktował mnie tam poważnie.

- A twój brat...

- Nie mam pojęcia. Rzadko go widywałem, a tylko raz dostrzegłem go w towarzystwie innych ludzi. Słyszałem często, że jest odludkiem, zadaje się z odmieńcami, dziwakami... I wtedy, kiedy przejeżdżałem z księciem, zobaczyłem go właśnie z takim towarzystwem. Ciągnął za sobą 'ogonek odrzuconych'. Kobieta, niska krępa, ze skośnymi oczami. Stary człowiek, który wyglądał jakby zupełnie nie miał pojęcia gdzie jest. Bliźnięta, chłopak i dziewczyna, jacyś tacy wykoślawieni, trzymający się za ręce. Sterczeli jak słupy soli, brat ssał kciuk u prawej dłoni, jak niemowlę, a przecież mógł mieć już ze dwadzieścia lat. A na czele stał on. Wymizerowany, ledwie mogłem go poznać, nawet wyciągając z pamięci to jak wyglądał gdy widziałem go kilka miesięcy wcześniej. Wątki, w łachmanach, grubym i ciężkim, przydużym płaszczu. Nie widziałem w nim tego silnego człowieka, który mówił mi 'nie zostawię cię nigdy, Jo'.

Starzec uniósł się z ziemi. Otrzepał szatę z długich zielonych wąsów trawy i niewielkich nasionek. Delikatnie zdjął z ramienia biedronkę, która wylądowała tam gdy Joaquin mówił. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji – patrzył smutnym wzrokiem w przestrzeń ale niewiele brakowało, by jego usta wygięły się w delikatny uśmiech. Kilkoma żwawymi ruchami przeszedł pod występ skalny, który był pierwszym stopniem schodów. Joaquin po chwili podążył tam za nim – uznał, że to co robi mężczyzna musi mieć jakiś cel, chciał poznać go, by móc ułożyć sobie w głowie więcej faktów.

- Spróbuj wspiąć się na górę. – rzucił cichym głosem staruszek, patrząc na chłopaka tak, jakby to była najłatwiejsza czynność pod słońcem.

Młodzieniec wiedział, że nie ma wielkich szans na powodzenie, w gruncie rzeczy rozsądnie byłoby odmówić, ale w głosie, choć ledwo słyszalnym, było coś tak stanowczego, że Joaquinowi przysłała do głowy niezbyt mądra myśl, że na takie wezwanie odpowiedziałby twierdząco nawet głaz.

Wyciągnął ręce do góry by chwycić za kamienistą, szorstką krawędź, w miejscu gdzie nie pokruszyła się mocno. Oparł nogę na niewielkim wgłębieniu, spróbował podnieść się i wczołgać na górę. Był całkiem silny, ale ku własnemu zaskoczeniu, nie mógł ruszyć się nawet o milimetr. Czuł się zupełnie tak, jakby coś ciągnęło go w dół za nogi, coś niezwykle silnego. Trudził się i pocił długo, nie dając za wygraną. Dopiero po kilku minutach, które mogły być nawet kilkunastoma (albo czasem znacznie dłuższym, o ile w obliczu nieskończoności i wieczności, pojęcie czasu może w ogóle istnieć) udało mu się przerzucić nogę i obracając, wtoczyć na kolejny stopień. Zmrużył oczy leżąc na wznak. Był cały mokry.

Starzec już stał obok niego. Joaquin nie widział, w którym momencie mężczyźnie udało się dokonać tej trudnej sztuki, nie miał też pewności, czy zrobił to w sposób możliwy do pojęcia dla człowieka – wyglądał wciąż tak rzeško, jak tylko może wyglądać wiekowa osoba. Nie zmęczył się ani trochę.

- Ja... Jak mój brat dał radę tu wejść? Przecież to niemożliwe...

Staruszek cmoknął po czym pochylił się i objął swoją kościstą, węzłąstą dłońią, nadgarstek Joaquina. Pomógł mu wstać i otarł mu pot z czoła.

- A co jeżeli powiedziałbym ci, że on wchodził na te schody już od dawna?

- Jak to? O czym ty mówisz?

Wyciągnął z kieszeni laseczkę i narysował w powietrzu dziwny kształt. Chwilę pomruczał niezrozumiałe, brzmiące jak obcy język, słowa, po czym jego twarz (teraz zarumienioną i okrągłą) rozjaśnił blask spokoju i pewności.

- Ta, jak ją nazwałeś, grupka odmieńców, to właśnie jego przyjaciele. To o nich pytał od razu po przybyciu tutaj. Czy nie wydaje ci się to znamienne?

Joaquin nie wiedział co na to odpowiedzieć. W istocie, nie pomyślał nawet o tym, by dowiedzieć się co mówił o nim brat. Nie miał pewności, czy

w ogóle o nim wspominał. Czy jednak było możliwe, by nasze serca oddaliły się od siebie tak bardzo, że w ostatecznym momencie mógł o mnie zapomnieć, pytał się w duchu z żarliwością, przepełnioną uczuciem opuszczenia i samotności.

- Tam na górę, do raję, wchodzą tylko ludzie spełnieni. Tacy którzy zachowali się jak należało, przeszli przez swoje życie niekoniecznie drogą łatwą, ale tą, którą podpowiadało im sumienie. Twój brat to właśnie uczynił. Dlatego już teraz mieszka tam, nad nami, setki, setki mil wyżej. I wydaje mi się, że jest mu dość dobrze. Czasami oczywiście zagląda na dół, obserwuje swoich ukochanych, ale jestem pewny, że nie spotkamy go tu.

Starzec przeszedł na kolejny stopień: widok wdrapującego się na skałę sędziwego człowieka o sprawności sprężystego dziecka, był bardzo osobliwy. Kiedy stanął ponad Joaquinem zdawało się, że zmienił się w monumentalny pomnik osławionego mędrca – z jego skupionych oczu biła moc i opanowanie, kojące niespokojne myśli.

- Kiedy odszedłeś, obiecał sobie, że w ramach zadośćuczynienia tego, że nie dał rady ukierunkować cię na dobrą drogę, będzie wspierał ze wszystkich swoich sił osoby potrzebujące pomocy. Ta korpulentna kobieta, o wschodnich rysach twarzy, była chora. Jej przerażeni rodzice, gdy zobaczyli że wygląda inaczej niż inne dzieci, porzucili ją pod drzwiami kościoła. Przez dziesięć lat mieszkała w podziemiach świątyni, ale najwięcej czasu spędzała z twoim bratem. Rozmawiał z nią, próbował uczyć podstawowych czynności, by mogła sobie w jakikolwiek sposób poradzić sama. Gdy zobaczył że jest to niemożliwe, po prostu zabrał ją ze sobą. Stała się jego rodziną.

Joaquin patrzył na mądrego staruszka z pół otwartymi ustami. Nie miał pojęcia o całej tej historii. Jak mogły do niego nie dotrzeć wiadomości o tak wspaniałej postawie jego własnego brata? Czy to na pewno był on? Może mowa o kimś innym? Przecież dowiedziałbym się o tym w taki, czy inny sposób - pomyślał.

- Stary człowiek nie pamiętał niczego, gdy Domenico zauważył go, kręcącego się wokół jego grządek z dynią. Nie wiedział jak się nazywa, skąd przyszedł. Każdego dnia po chłodnej nocy, w leciwej chatynce, schodził na dół i przedstawiał się twojemu bratu. Traktował go jak obcego człowieka.

Nie był świadomy tego, że już go spotkał. A bliźnięta? Widzieli jak ich rodzicom kat ścina głowy. Kolejne kradzieże spowodowały, że wyznaczono za nagrodę za ich schwytanie. Chciano wykonać standardową w tej sytuacji karę – obcięcie dłoni. Jednak członkowie królewskiej straży chcieli ukarać także niewinne dzieci. Wywiązała się szarpanina w której jeden z rycerzy ucierpiał. Wtedy wyrok zmieniono. A to wszystko dlatego, że oni po prostu nie mieli z czego żyć.

- Dlaczego? – chłopakowi wypłynęło na język właśnie to jedno pytanie, które wyrzekł głosem przepełnionym bólem. – Dlaczego, skoro sam ledwo wiązał koniec z końcem, pomagał tym wszystkim ludziom? I czemu nie powiedział mi o tym, nie wspomniał słowem? Przecież mógłbym jakoś pomóc...

- Dlaczego? – dobitnie powtórzył starzec. Choć wciąż nie podnosił głosu, Joaquinowi włosy zjeżyły się na głowie: poczuł wstyd i ogromny żal. – Mówiłeś o nich ‘odmieńcy’, widziałeś ich razem z nim i miałeś ochotę odwrócić głowę, wyrzec się samego wspomnienia o tym spotkaniu. Czy kiedykolwiek dałeś mu powód by mógł myśleć, że zareagujesz na to, jak na człowieka przystało?

- Nie. Chyba nie. – przyznał Joaquin. W tym momencie miał wielką ochotę skryć się w jakimś skalnym zakamarku. Czuł potworne zażenowanie swoją postawą, poczucie że podążył niewłaściwą drogą, przytłaczało go teraz z podwójną mocą. Fala myśli znów uderzyła.

Nie tylko zawiódł brata. Nie okazał mu wsparcia, nie umiał odnaleźć w sobie takiej siły, jaką odnalazł on. Czy kiedykolwiek powiedziałem mu, jak bardzo go cenię i kocham, zastanawiał się chłopak, na chwilę porzucając myśl o tym, że nie stoi tu sam. Odrzucił tę najczystsą, najbardziej bezinteresowną relację, jaką udało mu się zbudować, pozwolił, by zamieniła się w proch. Ale nie to, w tamtej akurat chwili, bolało go najbardziej.

Bo zawiódł również siebie. Chciał być taki jak Domenico, chciał po prostu być dobrym człowiekiem. Ale nie podołał temu. Nie obwinił się za wybór innej drogi niż chciał jego brat – wybranie pasji, a porzucenie nauki było oczywiście w jakimś sensie zbagatelizowaniem jego wysiłków, ale przecież gdyby wytłumaczyli to sobie choć raz, spokojnie i bez ciągłych słownych potyczek, wydarzenia mogłyby ułożyć się inaczej. Joaquin przekornie postąpił wbrew woli brata, mimo że sam nie uważał występowania przed koronowanymi głowami za znacznie bardziej interesujące, niż pokazy przed zwykłymi ludźmi.

Ale z czystej złośliwości zgodził się na to, wpędzając się w kilkanaście lat – to bardzo dobre określenie, wyszeptał do siebie – niewoli. Był oczywiście człowiekiem z pełnymi prawami, lecz przez swoje nieodpowiedzialne decyzje, przez to że nie potrafił odmawiać, zaplątał się w lepkiej sieci, z której próba ucieczki mogłaby być niebezpieczna. Nie wystarczyło mu odwagi by wrócić na właściwy tor, by znów stać się jedynym sternikiem swojego życia. Nie dał rady poprowadzić go tak, by poczuć że jest na właściwym miejscu i by móc się spełnić.

Po wielu długich latach, jego serce było puste. Nie było otoczone cierniami, zatrute, było po prostu jałowe. Zatracił kontrolę nad swoimi poczynaniami, biernie określał kolejne dni, pozwalając nieść się prądowi. Co jednak z tego, że żył dostatnio, nie musiał bać się o to czy wystarczy mu jedzenia, czy będzie miał gdzie spędzić noc, skoro pod powłoką udawanego szczęścia – tą powłoką, która przez cały czas wydawała się być prawdziwymi uczuciami – bał się o swoje życie, podporządkowywał je komuś innemu nie z własnej woli.

I choć Joaquin miał wygody, bogactwa, to tak naprawdę ubogi Domenico lepiej spożytkował zapisany mu czas. Pragnienie oczyszczenia własnej duszy z winy, która nie była jego grzechem, ukierunkowało go na działanie, które wypełniło go potem w całości. Odnalazł szczęście i spełnienie w pomaganiu. Czystą radość i poczucie wewnętrznego spokoju dawało mu dostrzeganie skutków swoich działań, odcisniętych na życiu innych ludzi. Choć był tylko człowiekiem, dla nich, dla tych których wspierał, był niczym istota boska. To dlatego nie miał żadnego problemu z dostaniem się do raju szczęśliwych. Wtedy też Joaquin uświadomił sobie, że on sam nie może tam wejść. Zetknięcie z tą prawdą było dla niego bardzo bolesne – wszak na początku myślał tylko, że to początkowa trudność, która później minie – ale czuł się choć odrobinę podbudowany tym, że wreszcie rozumiał. Dostrzegł błędy, choć nie mógł już ich naprawić. Teraz już płakał, gorzko, ale w pewien sposób oczyszczająco.

- Więc co będzie ze mną?

Starzec pochylił głowę, po czym zwrócił się bezpośrednio do niego, tak cicho jak jeszcze nigdy do tej pory – szelest żdźbeł trawy zdawał się tłumić jego słowa. Joaquin pociągał nosem, jego oczy i twarz błyszczały w świetle, od łez.

- Na razie nie możesz wejść na górę. Ale nie należysz już do świata na dole. Tkwisz w 'pomiędzy'. Jak widzisz jest tu całkiem przyjemnie. Zawsze jest ciepło, jasno. U schyłku każdego ziemskiego stulecia wzgórza zaczynają przez kilka ulotnych chwil mienić się kolorami tęczy. Czasami minuty będą dłużyły się tu jak lata, a niekiedy wieki całe upłyną między twoim jednym a drugim mrugnięciem. Będziesz obserwował to miejsce przez długi czas, ale do samego czasu nie będziesz przywiązany. Kiedy wszystko się skończy, zaczniesz się chwilę potem od początku. W końcu nadejdzie taki dzień, w którym zauważysz, że te stopnie, stały się mniejsze. Potem wystarczy wypatrywać momentu w którym sam będziesz mógł po nich wejść. Zapewniam cię, że twój brat będzie tam na ciebie czekał. Nie chciałem być dla ciebie surowy więc proszę, nie płacz już, to nie jest dla ciebie kara. Po prostu musisz nadrobić kilka ziemskich zaniedbań.

- Co mam tu robić? – zapytał niepewnym, ochrypłym od emocji głosem.

- Czekaj. Niedługo może pojawi się ktoś, kto tak jak ty będzie potrzebował odpowiedzi. Udzielisz mu ich.

- Kiedy ja sam nie wiem zbyt wiele. Zrozumiałem to, co wydaje się, chciałeś mi przekazać, ale skąd będę miał pewność, że nie mijam się z prawdą? Że nie sprowadzę tego kogoś na złą ścieżkę?

- Nie ma złej ścieżki. Albo inaczej: nie ma takiej nieodpowiedniej ścieżki, której wpływu nie wymaże czas, i z której nie ma powrotu na tę dobrą.

- A co będzie z tobą?

- Ja? Ja chyba właśnie doczekałem tego momentu. Nadrobiłem swoje zaległości. Jestem gotowy by przekroczyć tę bramę, wysoko w górze, ponad chmurami, bliżej gwiazd niż ziemi. To w gruncie rzeczy dzięki tobie, dzięki temu że mogłem przekazać ci to co sam kiedyś usłyszałem. Obaj wyświadczyliśmy sobie przysługi. Jestem w gruncie rzeczy szczęśliwy, bo przed tobą już nie ma zła, jest tylko oczekiwanie na dobro. Ale mrok okrywa moje oczy i serce, kiedy myślę, jak brutalnie zabrano cię z ziemi. Mogłeś mieć jeszcze tyle czasu, by wszystko naprawić. Ale cóż – spojrzal znacząco w górę – niezbadane są wyroki które tam zapadają. Bywaj, chłopcze!

- Dziękuję ci za wszystko... ja nawet nie wiem jak masz na imię, jak cię tam kiedyś znajdę?

Ale starzec wbiegał już po olbrzymich stopniach, energicznie, jakby rozświetlony bijącą z jego środka mądrością.

A Joaquin stał przez chwilę, obserwując imponujący widok wokół. Wziął głęboki wdech – zadziwiające, że zostało mu coś jeszcze po poprzednim etapie życia – i ruszył w dół, do miejsca, w którym wszystko się zaczęło. Ułożył się dokładnie w tym miejscu, w którym się przebudził, po czym rozpiął kilka zatrzasków koszuli, rozchylił ją, by poczuć lekkie i ciepłe podmuchy wiatru intensywniej. Leżał tak, wciąż z wilgotnymi oczami, lecz teraz jego usta zdobił delikatny uśmiech. Poznał sens, i choć sam nie może wykorzystać tej wiedzy, jest w stanie pomóc komuś innemu. Jak Domenico czynił to już za życia.

„Niedługo się zobaczymy“ wyszeptał do siebie i roześmiał się tak serdecznie, jak nie robił tego od dawna.

Adam Terlikowski

Dom tańczący w takt skrzypiec

Na dworze było słonecznie i tak jasno, że aż raziło w oczy. Zeszłam ze schodów prowadzących do gmachu szkoły, przeszłam skrzyżowanie i udałam się do biblioteki, która znajdowała się na drugim końcu miasta. Aby tam dojść, musiałam przejść przez plac główny pobliskiego szpitala. O tej porze dnia wielu chorych wychodziło na dwór, żeby choć na chwilę zapomnieć o swoim bólu, cieszyć się każdą chwilą wolności. Przechodząc przez środek placu poczułam na sobie spojrzenia pacjentów. Trochę zazdrosne, trochę smutne, rozgoryczone. Odwróciłam na chwilę głowę w kierunku jednego ze spojrzeń. Patrzyły na mnie duże, stalowoszare oczy. Na głowie żółta chustka. Błada twarz i wystające obojczyki. Siedziała na wózku. Chyba chodziła kiedyś ze mną do równoległej grupy na angielski.

Przez chwilę wpatrywałam się w nią, starając się nie spieszyć. Po kilku sekundach szybko odwróciłam wzrok i lekko potrząsnęłam głową, jakby chcąc wymazać z głowy jej obraz. Przyspieszyłam kroku i skręciłam za róg budynku.

* * *

W bibliotece pachniało starym papierem i kokosanką. W tle szumiała klimatyzacja, przez co cały okrągły rok było tu chłodno. Przy biurku obok wejścia siedziała kobieta w tlenionych blond włosach, misternie nawijająca je na palec jednej ręki. W drugiej, jakżeby inaczej, trzymała komórkę. Jej usta przypominające usta karpia żuły gumę balonową, której zapach uderzał każdego, kto tu wchodził.

- Pomóc w czymś? - zapytała ze znikomym zainteresowaniem w głosie.
- Nie, obejdzie się - odpowiedziałam chłodno, nie siląc się na uprzejmości. I tak wiem, żeby mi nie pomogła. - Mogę wejść na zaplecze archiwalne?
- Wszystko mi jedno, tylko niczego nie zniszcz - odpowiedziała, patrząc ponownie na wyświetlacz ekranu.

Kiedy znalazłam się między regałami, zaczęłam szybko przebiegać wzrokiem po tytułach, delikatnie przejeżdżając każdą okładkę palcami. Nie było tej, której szukałam. W ostatniej chwili zobaczyłam ją. Spryciuła, schowała się na samym końcu. Wyjęłam ją sprawnym ruchem. Z pośpiechem otworzyłam na odpowiedniej stronie i gwałtownym pociągnięciem wyrwałam jedną z kartek i niedbale włożyłam do kieszeni. Odłożyłam egzemplarz na półkę i wyszłam jak gdyby nigdy nic, nie odpowiadając blondynce na „do widzenia”.

Tak bardzo nie chciałam wracać do domu, ale już wystarczająco długo przeciągnęłam limit siedzenia w kawiarni, ucząc się francuskich koniugacji. Z impetem otworzyłam drzwi. Już w korytarzu pachniało odgrzewaną pizzą, co kompletnie nie pasowało do osiemnastowiecznego budynku z czerwonej cegły z wieżyczkami. Zdjęłam płaszcz i rzuciłam na stertę innych. I tak nikt ich nie sprząta. Wbiegłam po krętych schodach na górę i delikatnie zapukałam do pokoju mamy. Nikt się nie odzywał. To było do przewidzenia, więc ostrożnie otworzyłam drzwi. Mama siedziała w ogromnym fotelu. Była tak krucha i drobna, że wyglądała jak dziecko.

- Cześć, mamó – powiedziałam cicho i podeszłam do niej.

- Cześć, słońce- odpowiedziała z udawany entuzjazmem.

- Jak się czujesz?

- A wiesz, tak jakoś dziwnie, jak zawieszona pomiędzy stanami, wiesz ni to żal , ni to smutek , tak trochę to jednak jakby euforia...

- Mamó, brałaś leki?

- Tą niebieską i czerwoną tabletkę tak, tej żółtej nie wzięłam, bo tak jakoś... nie miałam już siły, to wszystko i tak nie ma przecież sensu...

- Chcesz, żebym ci coś zagrała? - zapytałam z troską.

- Jak sobie chcesz, kochanie - odpowiedziała i spojrzała na mnie, starając się ukryć ból.

Podeszłam do szafy i wyjęłam skrzypce. Stałam obok fotela i zaczęłam grać, najpierw cicho i delikatnie, potem coraz mocniej, jakbym chciała wykrzyknąć wszystkim, że z takiej mamy to nie mam nic. Po co mi takie widmo, które czasami nawet nie pamięta, jak mam na imię.

Gdzie mama, która czeka z gulaszem, która pyta się, co tam w szkole, która kupuje nowe kolczyki?! Taką mamę ostatnio miałam dwa lata temu. Od tamtego czasu praktycznie nie mam mamy. Zresztą z tatą nic lepiej.

Mama nawet nie zorientowała się, że skończyłam grać. Szkoda. Kiedyś klaskała. To ona zaraziła mnie pasją do skrzypiec. Kiedyś sama grała w operach, teraz nawet nie dotyka instrumentu. Myślałam, że jak będę jej grała, to potraktuje to jako formę terapii. Jak na razie nieskutecznej. Odłożyłam instrument do szafy i spojrzałam na mamę. Spała. Przykryłam ją kocem i zesłam do kuchni. Tata siedział przy blacie stołu z nosem w laptopie. Otworzyłam lodówkę. W środku był karton mleka, trzy jajka i pudełko z połową pizzy w środku.

- Chcesz kawałek? - zapytałam.

- Mhm - chrząknął, nieobecny. Gęstą ciszę przerwał dźwięk sms-a. Tata spojrzał na wyświetlacz i uśmiechnął się. Gdy postawiłam przed nim talerz, szybko schował telefon do kieszeni. Usiadłam przed nim.

- Jak jej na imię? - zapytałam, starając się ukryć drżenie głosu i zabrzmieć obojętnie.

- To znaczy?- A jednak. Chciał się bawić w te gierki.

- To znaczy ona – wskazałam głową jego kieszeń. Tata spojrzał mi prosto w oczy. Na jego twarzy malował się ból. Przez chwilę chciałam mu uwierzyć, ale szybko się otrząsnęłam. No? - ponagliłam go. Przez chwilę było widać jego wahanie, ale widocznie nie było ono na tyle silne, żeby wywołać w nim resztki przyzwoitości, bo odpowiedział:

- Judyta.

W tym momencie wstałam. Odniosłam talerz do zlewu i bezceremonialnie trzasnęłam drzwiami. Weszłam na schody prowadzące na strych, a potem na dach. Czekał już. Siedział przy jednym z kominów. Na ramionach miał niedbale zarzuconą bluzę, która przykrywała t-sihrt z Nirvaną. Jego gęste, ciemne włosy rozwiewał wieczorny wiatr. Gniewko mieszkał tuż obok mojego domu, ściana w ścianę. Paradoksalnie mieszkaliśmy pod jednym dachem. Podeszłam do niego i usiadłam zaraz obok, oparłam głowę na jego ramię. Pachniał jak zawsze miętą z lekką nutą świeżego prania.

Słońce przed nami zachodziło, tak jak co dzień, zostawiając za sobą krwawy ślad na niebie. Nasza złota godzina.

- Co tam? - starałam się, by słowa zabrzmiały beztrzesko, ale chyba mi nie wyszło, bo Gniewko wziął moją twarz w dłonie i odwrócił w swoją stronę.

- No, co jest? - zapytał z troską .

- Nic - ucięłam krótko i szybko wyrwałam głowę z jego rąk.

- Jak nic. Przecież widzę.

Czy przed tym człowiekiem nic się nie ukryje? Westchnęłam i spoj-
rzałam prosto w te ciemne jak niebo nocą oczy.

- Mój ojciec właśnie mi powiedział prosto w twarz, że nas zdradza - powiedziałam niby od niechcenia, maskując ból. Mam już dosyć litości na co dzień.

Gniewko nic nie powiedział. Przytulił mnie mocniej, a ja sprawiłam, że jego rękaw był mokry i brudny od czarnych smug.

* * *

Sobota. Nowy dzień, nowy start. Może właśnie dziś zbawię świat. Nigdy nie jest za wcześnie. Jezus miał tylko 33 lata. Promienie słońca leniwie wędrowały po moich zasłonach. Poduszka tak miękka, nie chciała wypuścić z objęć. Już, już miałam przewrócić się na drugi bok, gdy usłyszałam jak ktoś wchodzi do domu. Z ociąganiem założyłam szlafrok i zesłam na dół. W drzwiach stał Iwo.

- Cześć, siostra - podszedł i cmoknął mnie w policzek. - Słuchaj, zrobisz mi pranie? Tu masz worek. Wiesz, mam tak mało czasu na tych studiach, a ty chyba i tak nie miałaś żadnych planów, co? Odwdzięczę się. A jak mama? Lepiej, gorzej? No cóż, trzeba żyć nadzieją. Dobra muszę lecieć, młoda. Na razie - krzyknął już zamykając drzwi.

W tym domu chyba nikt się ze mną nie liczy. Weszłam do łazienki i wrzuciłam zawartość worka do pralki. Dorzuciłam jeszcze kulki waniliowe, te które tak lubi Iwo. A niech ma.

Gdy wyszłam z łazienki wpadłam na najmłodszą z naszej super rodziny.

- Klara, pomóż mi z tą chemią. Ja nie ogarniam- jęczała i zawodziła, jak zawsze, gdy chciała coś wyprosić.

- Pamela, nie teraz. Chciałam jeszcze pospać.

- Ale Iwo i tak cię obudził, to już nie ma znaczenia. No weź. I tak nie zaśniesz. A ja mam sprawdzian w poniedziałek.

- Chodź - zgasiłam światło w łazience i podreptałam za Pamelą do jej pokoju. Tłumaczenie jej chemii nie jest rzeczą ani łatwą, ani przyjemną. Ale jeżeli ja jej nie pomogę, to nikt inny tego nie uczyni, choć nasz tata jest lekarzem. Tak właśnie wygląda wspierająca się rodzina. Powinnam gdzieś o tym napisać.

Przy obiedzie, o ile można tak nazwać dwudniową pizzę, myślałam o Gai. Znamy się już bardzo długo. Kiedyś mieszkała ulicę obok. Przez jakiś czas się nawet przyjaźniłyśmy, ale pod koniec podstawówki pokłóciłyśmy się o coś. Nawet nie pamiętam już o co. Znając siebie, pewnie o jakąś błahostkę. Od tamtej pory widywałyśmy się tylko na dodatkowym angielskim, udając, że się nie znamy. Niedawno Pamela coś wspominała, że Gaja zachorowała na białaczkę. I faktycznie po kilku tygodniach przestała chodzić na zajęcia, nie widywałam jej w naszej ulubionej kawiarni. Ostatnio gdy ją widziałam, odniosłam wrażenie, że patrzy na mnie śmierć. Wstyd mi, że tak myślę... Ale moja mała, kochana Gaja...

Dziś słońce zachodziło bardziej na różowo, a w powietrzu czuć było zapach mokrych liści. Gniewko siedział tym razem tuż przy krawędzi. Ostrożnie przycupnęłam obok i głęboko westchnęłam.

- Ucieknijmy gdzieś. Może Nowa Zelandia? Albo Tajlandia? Albo nie, lepiej Tanzania, tam nas nie znajdą.- Wyrzuciłam z siebie jednym tchem. Gniewko spojrzął na mnie oczami pełnymi zrozumienia. Chwycił mnie za rękę, a ja znów oparłam się o jego ramię. I tak oboje trwaliliśmy w tej symfonii świata, który się nami bawiła, jakbyśmy byli wypchanymi lalami.

* * *

W szpitalu zawsze pachnie specyficznie. Jakby czystością i chorobą jednocześnie, o ile taki zapach w ogóle istnieje. Nienawidzę klimatu szpitali. Po prostu nie znoszę... ale muszę to zrobić. Staję pod drzwiami pokoju 216 na oddziale onkologicznym. Pukam i bez zgody wchodzę. Jest. Leży na łóżku, czytając książkę, chyba „Igrzyska śmierci”.

- Hej - mówię nieśmiało.

- Hej - odpowiada z nieskrywanym zdziwieniem.

- Słuchaj, Gaja, nie ma cię już kawał czasu na angielskim. Mam dla ciebie kserówki, mogę do ciebie wpadać raz w tygodniu i wszystko ci przekazywać. W końcu, gdy kiedyś polecisz do tej swojej Kalifornii, to musisz umieć coś mówić, nie? No, to będę jutro, gdzieś o piątej, a teraz masz na razie te zadania z czasowników modalnych. To do jutra - szybko powiedziałam i wyszłam.

Nie chciałam dać jej szansy na odpowiedź. Jakikolwiek wyjaśnienia są zbędne. Wychodząc, kątem oka dostrzegłam jej uśmiech. Słaby, bo słaby, ale był. Dałam tej dziewczynie nadzieję, którą prawdopodobnie zabierają jej każdego dnia.

Wracając do domu wstąpiłam do pani Marii. To urocza staruszka, która kiedyś była aktorką. Teraz strasznie cierpi na reumatyzm, więc staram się jej pomóc, jak tylko mogę. Każda sekunda jest warta jej opowieści z planów zdjęciowych. To jak odtwarzanie kasety z wyciętymi scenami wielu znanych filmów. Wszystkie afery, romanse i przekręty, zebrane w jednej małej głowie pani Marii. Chociaż woli, gdy mówi się do niej Marija albo Maryśka.

- Dzień dobry !- krzyknęłam od wejścia, stawiając siaty pełne zakupów na podłodze w kuchni. - Może ugotować pani obiad, jak już jestem, co? Pomidorową zrobię, co pani myśli?

- Ależ dziecko, dajże spokój. Chińszczyznę sobie zamówię. Netflixu sobie puszcze i wieczór jak ta lala. Co ty myślisz, że ten reumatyzm coś zmienia? Klarcia, pamiętaj, limity są tylko w naszych głowach. No już, ucałuj mnie na pożegnanie i leć do niego. Czekaj już na pewno. A, a jutro jak będziesz robić zakupy, jabłek kup, to może w końcu ruszę się z kanapy, upiekę coś. No już, pa pa kochanie, pa pa.

I na tym moja wizyta u pani Marysi się skończyła. Rozpakowałam jeszcze tylko zakupy

i wyszłam na chłodne powietrze jesiennego dnia. Wiatr przyjemnie smałał czerwone policzki. Włosy wirowały wokół głowy, zasłaniając drogę. Czuć było nadchodzącą zimą. Cały świat powoli zapadał w sen, pogrążał się w nostalgii... jakby w depresji... jak mama.

Gdy wchodziłam na dach, dostrzegłam w kącie strychu lustro. Mimo-
wolnie cofnęłam się i podeszłam do niego. Tafla była lekko przykurzona.
Złota rama lekko porzewiała miejscami. Popatrzałam na swoje odbicie.
Przede mną stała Klara. Klara, która czasem ma wrażenie, że nie potrafi
oddychać. Że się topi. Mówi sobie: wdech i wydech, ale czy to coś zmienia.
Chyba nie. Tak krąży wokół wszystkich. A ważna jest tylko dla jednego
człowieka na całutkim świecie. Kiedy ona się tak pogubiła? Kiedy zaczęła
być fizycznym telefonem zaufania i kołem Caritasu jednocześnie? Ona się
spala. Ta dziewczyna w lustrze spala się dla innych.

Tego popołudnia słońce jakby chciało się popisać, świeciło we
wszystkich odcieniach złota. Gniewko już siedział i czekał. Mój Gniewko.
A ja, jak zawsze usiadłam obok i oparłam głowę o jego silne ramię.

- Klara, to nie może tak dłużej trwać. Kim ty jesteś? Kiedy ostatnio
spaaś? Całymi dniami robisz z siebie wolontariuszkę, latasz po mieście,
non stop coś robisz, ogarniasz. Dziewczyno, daj spokój... proszę - był
naprawdę przejęty. Lekko głąskał mnie po policzku, a lekki grymas zmar-
twienia wykrzywił jego twarz. Zawsze się o mnie troszczył.

- Kiedy ostatnio grałaś na skrzypcach? - zapytał wyzywająco - tak
naprawdę grałaś, z własnej woli, dla tylko i wyłącznie swojej przyjemności?
Klara, ja nie mogę cię stracić!

Teraz nasze czoła się stykały, a ja czułam, jak Gniewko głęboko
oddycha.

- Kiedyś, gdzieś przeczytałam, że aby wypełnić ludzkie serce, wystar-
czy walka prowadząca ku szczytom. Ja im nie pomagam - podniosłam
na Gniewka oczy i spojrzałam na niego z odwagą. - Ja o nich walczę.
Każdego dnia....

- A kto zawalczy o ciebie....?

Olivia Lejman

List pierwszy

[z cyklu: Trzy listy z epilogiem]

Gehrter Herr Keller!

Moi rodzice nie zechcą
Spotkać się Panem by przyjąć
Przeprosiny i wyrazy ubolewania
Ożywiają ból i rozpacz
Niewygasłe po stracie
Dzień za dniem, latami
Na pamięć wolno opada pył
Cofnąć się nie da – to czas
Kryje warstwami igliwia mogiły
Ludzi wyrwanych ze snu
Bez zbędnych pytań
Jesienną nocą wydanych
W ciemnym lesie
Śmierci.

Piotr Nowak

List drugi

[z cyklu: Trzy listy z epilogiem]

Gehrter Herr Keller!

Zgoda więc, zaprowadzę Pana
Gdzie ich wleczono spętanych
Powiodę ścieżkami znaczoymi
Strachem i cierpieniem bliskich
Stał tu z dymiącą lufą mausera
Pański dziadek przed moją babką
Patrząc jak ulatuje powoli życie
Przez ten niewielki, przecież, otwór
W wełnianym, brązowym swetrze
Który dostała dwa lata wcześniej
Na czterdzieste czwarte urodziny
Od szczupłego, siwiejącego męża
Miłego leśnika, którego z innymi
Trzydzieści metrów dalej zasypiano
W czułych objęciach korzeni
Okaleczonych łopatom.

Piotr Nowak

List trzeci

[z cyklu: Trzy listy z epilogiem]

Gehrter Herr Keller!

Proszę przyjechać jesienią
Dotknąć pni starych sosen
Niemo patrzących na to zło
Po którym zostały stosy trupów
Relikwie wyjmowane po latach
Z płytkich dołów pod mchem
Niezagojone rany na spękany szkłe
Okulary zmiażdżone ciosem kolby
W chłodny listopadowy poranek
Powietrze było ciemne i tak gęste
Jak tężejąca brunatna posoka
Której ślady znalazł Pan
Na rękawie munduru przodka
I na jego sumieniu.

Piotr Nowak

Epilog

Wnuk dziarskiego scharführera z Wuppertalu
Pierwszego dnia nie powiedział niczego
Po niemiecku, sumiennie kartkował
Gruby słownik Langenscheidta
Patrząc w oczy szeptał ledwie
Z powagą polskie słowa
Nim wypowiedział ważył
Myśli, jak stare grzechy
Przez kolejne dwa dni
Kiedyśmy wieczorem
Wracali z tego lasu
Płakał nieustannie
Herr Keller
W Piaśnicy

Piotr Nowak

**Za długie na haiku...
Za mało, by kochać...**

Rano ostatnie ćmy kąpią się w rosie
Ostrożna mgła głaszcze zdrętwiałe uczucia
Nieszczęlny pojemnik sączy zastygłe uśmiechy -
To serce

Magdalena Kubiak

W poszukiwaniu straconego czasu...

Szperam w cudzych myślach
Znajduję klucze rozdziałów
Przewracam niecierpliwie
Klepsydre bram do alternatyw świata
Wpływam w głąb puszek Pandory
Pławię w odmętach zakazanej wiedzy
Czytam...
A Ty co robisz, aby wypełnić ludzkie serce?

Magdalena Kubiak

Jestem zdobywcą szczytów...

Codzienny maraton słów
Zapełnia mi puchar naparstków rozmowy
Woda sylab przelewa się przez palce ulotności przegrywanego
wspólnie czasu
Jestem prawdziwym mistrzem zdechłych poranków
utopionych w hektolitrach samotnej kawy
Dostaję medal niechęci od Ciebie od poniedziałku do piątku
W sobotę niedzielę i święta wypełniasz mnie namiastką
płytkiego miłowania

Stoję teraz przed Tobą na podium naszej codzienności
Jak szczotka do zamiatania Himalajów dziurawych
asfaltowych ulic
Powiedz coś do mnie jak do Człowieka
Żebym nie zgubił drogi na szczyt
Nie traktuj jak yeti codziennego bytu

Magdalena Kubiak

Wejherowo

podobno w człowieku zmienia się wszystko co siedem lat
komórka po komórce
to człowiek
co dopiero miasto
w pamięci
zwyczajnie
kureczy się
co roku bardziej
rzeczywiście
te same kamienice
uliczka
fara
fontanna
kamień w parku
mniejsze

podobno w człowieku zmienia się wszystko co siedem lat
komórka po komórce
rzeka Cedron
także można powiedzieć
po arabsku
hebrajsku
polsku i kaszubsku
nie jest to jednak zawsze
ta sama woda
ta sama księga
to samo miasto

czego szukam tutaj
na placu Jakuba Wejhera
smaku chleba
z nieistniejącej od dawna piekarni
otrzymuje w zamian
konfitowaną kaczkę
z widokiem na ratusz
wiele rzeczy toczy się
inaczej niż
gdybym wiedział

gdybym teraz nie zamówił
tej kaczki z kluskami
nie zjadł na deser Panna Cotty
nie wypił dodatkowo trzech kieliszków
wina domu
być może byłbym lżejszy
i mógłbym powtórzyć
dowolny wyczyn z młodości

na przykład
wejść na głowę
pomnika
patrona miasta
jeszcze wyżej
ponad
kościół franciszkanów
park
kapliczki
dworzec
linie kolejową

tysiące kilometrów torów
miast
porzuconych
mijanych
osób
zgubionych
wierszy

teraz muszę jednak
jedynie
uiścić rachunek
wyjść i ruszyć
w stronę dworca

nie odwrócę biegu rzeki Cedron
biegunów ziemi
zdarzeń
podobno w człowieku zmienia się wszystko co siedem lat
co dopiero w życiu

Przemysław Krajewski

Baronato Quattro Bellezze

wybierając
anonimowość tłumu
doskonałą obojętność
metra
kolejkę do kasy
gotowy na rzeczy małe

Super Nikt
manifestuje
spokojny oddech
jako akt odwagi

o czym myślałem
w Complesso Del Vittoriano
na wystawie
prac Edwarda Hoppera
odpoczywając
na designerskim szeszlengu
z miękkiego filcu
w kształcie kamienia
obserwując przez okno
wycieczkę turystów
zwiedzających Forum Romanum
przypomniałem sobie
swój pierwszy wiersz
o Odysie

czym są pierwsze doświadczenia wobec ostatecznych

chciałbym to wszystko
jakoś wytłumaczyć
przed sobą
korzystając z interpunkcji bezradności
nagiego przecinka
żrenicy kropki
zanim ułożę się w znak zapytania

znalazłszy jak to mówią
cichą przystań
przy Via di Panico
w środku Wiecznego Miasta
Super Nikt
jak Jonasz

ćwiczy na przyszłość
swoją odpowiedź
spokojny oddech
jako akt odwagi

jeszcze chciałbym odrzucić od siebie
wszystkie te niepotrzebne
drzazgi wspomnień
są tak bardzo zajmujące
że można by nie zauważyć
nie docenić teraz
smaku wina
parmezanu
z pikantnym dżemem pomarańczowym

welurowej samotności
braku lęku

naprawdę jest to
smakiem życia
esencją nocy
chwilą
w której czuje się
wybrańcem bogów
będąc gościem
Baronato Quattro Bellezze

Przemysław Krajewski

Baronato Quattro Bellezze
Via di Panico Roma
03.2017

Golebie serce

mój syn o gołęzim sercu
opowiedział mi sen
o królowej gołębi
która pozwoliła mu
dotknąć się
pod skrzydłem

co czuł dotykając
puchu
nie wiem

może to
co wtedy
podczas
pierwszych spacerów
z przyjaciółką

tacy poważni

co jednak ja
mogę wiedzieć
o złotych warkoczach
i rozmowach
jak pierwsze wiersze
jak sen o królowej gołębi

teraz
rodzice tej dziewczynki
się rozwiedli
ona też wyprowadziła się
na przedmieścia daleko
rozmawiałem z jej matką

pan nie rozumie co my przechodzimy

czy rozumiem
co czuje mój syn
kiedy
wieczorem
ubiera się i
wychodzi do parku

5.

zabierając ze sobą
czerstwy chleb

to chyba nie jest najlepsza pora
na karmienie ptaków

zresztą i tak
w naszym parku
od dawna nie widziałem
gołębi
może wypłoszyli je
budowniczkowie nowego osiedla
a może stało się jeszcze coś innego

patrzac przez okno
jak spaceruje z tym chlebem
wierzę jednak że warto
to robić
towarzysząc mu
w oczekiwani
na królową gołębi

Przemysław Krajewski

Okiem jurora

Mottem 13. edycji konkursu Powiew Weny był cytat z twórczości Alberta Camusa „by wypełnić ludzkie serce, wystarczy walka prowadząca ku szczytom” Jak co roku konkurs ogłosiła Miejska Biblioteka Publiczna im. Aleksandra Majkowskiego w Wejherowie. Odbywa się on pod patronatem Prezydenta Miasta. Ma charakter otwarty i skierowany jest zarówno do debiutantów, jak i autorów z dorobkiem literackim, mieszkających na terenie województwa pomorskiego.

W tegorocznym konkursie wzięło udział 55 osób. Nadesłane prace podzielono na dwie grupy wiekowe. Pierwsza skierowana do młodzieży w wieku od 16 do 19 lat, druga do dorosłych powyżej 20 lat. Uczestnicy konkursu mogli wybrać między prozą a poezją. W kategorii literatury młodzieżowej, gromadzącej zarówno poezję, jak i prozę, wzięły udział 22 osoby. W kategorii literatury dorosłej jury zapoznało się z 19. zestawami poetyckimi i 14. opowiadaniem.

Okazało się, że hasło autorstwa Alberta Camusa jest bardzo pojemne znaczeniowo. Przekaz sugerujący walkę z przeciwnościami losu, w żaden sposób nie ograniczał wyobraźni autorów nadesłanych prac. Charakteryzowały się one dużą różnorodnością gatunkową. Jury miało do czynienia z m.in. opowiadaniem fantastycznymi (od fantazy do SF), społeczno-obyczajowymi, kryminałami oraz opowieściami historycznymi.

W grupie młodzieżowej jednoznacznie zwyciężyła proza. Być może poezja jest w młodym wieku sztuką bardziej wymagającą i trudniejszą do literackiego zrealizowania. Nie tylko przecież wrażliwość i emocje decydują o dobrym wierszu. Ważna jest także technika, rytm, wersyfikacja, odpowiednie stosowanie rymów. Wszelkie awangardowe pomysły, powinny opierać się na rzetelnej wiedzy teoretycznej. W tegorocznej edycji konkursu zabrakło tej lirycznej iskry, która skłoniłaby jury do nagrodzenia któregoś z poetyckich zestawów. Tym razem propozycje prozatorskie okazały się ciekawsze.

Pierwszą nagrodę zdobyła Paulina Melcer za opowiadanie, pt. „Niebo“. Jest to z pewnością najlepiej napisany tekst w kategorii młodzieżowej. Charakteryzuje go wnikliwa obserwacja reakcji międzyludzkich. Postacie literackie są psychologicznie wiarygodne. Problem kryzysu miłości jest głównym tematem tego tekstu. Dojrzałość literacka jego głównym atutem.

Drugie miejsce otrzymał Adam Terlikowski za opowiadanie, pt. „Sens“. To przypowieść, której akcja dzieje się w zaświatach. Schlebianie władzy kosztem braterskiej przyjaźni, powoduje duchowy upadek bohatera. Uświadomienie sobie tego może być początkiem wewnętrznej przemiany, która umożliwi drogę na szczyt. Przesłanie opowiadania trafnie nawiązuje do motta konkursu.

Trzecia nagroda trafiła w ręce Oliwii Lejman za utwór, pt. „Dom tańczący w takt skrzypiec“. Bohaterką opowiadania jest młoda empatyczna osoba wrażliwa na cierpienia innych. Celem jej życia jej pomoc innym. Zapomina jednak o własnych potrzebach i nie potrafi pomóc sobie. Psychologiczna spostrzegawczość autorki stanowi o wartości tego tekstu.

W kategorii prozy dla grupy wiekowej powyżej 20. lat pierwsze miejsce otrzymał Sebastian Imielski za opowiadanie, pt. „Mleczarz“. Ta krótka historia przyjaźni człowieka z psem urzekła jury klasyczną narracją, przejrzystym językiem i formalną lapidarnością. Autor w sposób niebanalny przedstawił problem samotności. Nie mamy tu jednak do czynienia z traumatyczną opowieścią, lecz pogodnym szkicem, ujawniającym jak bogate w znaczenia mogą być nawet najzwyczajsze, codziennie wykonywane czynności.

Nagrodę drugą zdobył Krzysztof Szkułatowski za opowiadanie pt. „Pod górę“. To wstrząsająca próba zrozumienia tragicznych losów ludzi, którzy musieli zmagać się z okrutną rzeczywistością dwóch wojen światowych dwudziestego wieku. Literacki hołd złożony niezłomności ludzkich charakterów. To również apoteoza miłości, dla której nie istnieją granice państw czy narodowości.

Trzecie miejsce jury przyznało Sebastianowi Cieślukowskiemu, który opowiadaniem, pt. „Obrączka“ wciąga czytelników w niebanalną intrygę kryminalną. Głównymi atutami tego tekstu są sprawnie napisane dialogi, dobrze zarysowana postać komisarza oraz zagadka podsycająca ciekawość.

W kategorii poezja dorosłych jury konkursowe pierwsze miejsce przyznało wierszom Piotra Nowaka. To właściwie cykl lirycznych listów,

krótkich rozmów, poruszających ciężki temat winy za czyny, których nie tłumaczą nawet wojenne okoliczności. Wiersze oskarżenie, jednocześnie zgłębiające trudną sztukę wybaczenia. To również duchowa relacja z wewnętrznej przemiany, do której przyczynia się skrucha za popełnione grzechy.

Nagrodę drugą otrzymała Magdalena Kubiak za poezję skupioną na motywie przemijania. Czas i jego rola w naszym życiu to główny temat tej silnie zmetaforyzowanej liryki. Spośród innych propozycji wyróżniają też uwrażliwienie na otaczającą nas przyrodę.

Miejsce trzecie jury konkursowe przyznało Przemysławowi Krajewskiemu. To poezja budująca swoją liryczną tożsamość głównie poprzez konteksty kulturowe i historyczne. Ale nie tylko. Jest w niej też miejsce na psychologiczną wręcz wnikliwość, próbującą zrozumieć fenomen pierwszej miłości czy osamotnienia w tłumie.

Tegoroczna edycja wejherowskiego konkursu literackiego „Powiew weny“ obfitowała w ciekawe teksty prozatorskie i poetyckie. Jury musiało jednak zdecydować się na wybór najlepszych. Pod uwagę wzięto też w jaki sposób poszczególne opowiadania i wiersze odnosiły się do motto Alberta Camusa.

Większa liczba przesłanych zestawów w porównaniu z poprzednim rokiem, wskazuje na rosnącą popularność konkursu. Pisanie to zajęcie nie tylko dla utalentowanych, ale przede wszystkim dla wytrwałych. Z życzeniami, by tej wytrwałości nie zabrakło, zapraszamy na udział w konkursie, który odbędzie się za rok.

Daniel Odija

SPIS TREŚCI

Krzysztof Hildebrandt - <i>Drodzy Czytelnicy</i>	5
WYNIKI KONKURSU	8
Sebastian Imielski - <i>Mleczarz</i>	9
Krzysztof Szkurłatowski - <i>Pod górę</i>	14
Sebastian Cieślikowski - <i>Obrączka</i>	27
Paulina Melcer - <i>bez tytułu</i>	37
Adam Terlikowski - <i>Sens</i>	46
Oliwia Lejman - <i>Dom tańczący w takt skrzypiec</i>	61
Piotr Nowak - <i>Trzy listy z epilogiem</i>	68
Magdalena Kubiak - <i>Za długie na haiku..., Jestem zdobywcą szczytów, W poszukiwaniu straconego czasu</i>	72
Przemysław Krajewski - <i>Wejherowo, Baronato Quattro Bellezze, Gołębie serce</i>	74
Daniel Odija - <i>Okiem jurora</i>	83
SPIS TREŚCI	87



**Laureaci, jurorzy i organizatorzy
XIII Wejherowskiego Konkursu Literackiego
"Powiew Weny 2018"**

Fot. Henryk Połchowski



**Miejska Biblioteka Publiczna
im. Aleksandra Majkowskiego
w Wejherowie**

ISBN 978-83-940674-2-7